

Pisalnik

MAGAZYN KREATYWNEGO PISANIA

NR 10

zbiór tekstów uczestniczek „Pisalni” Akademii Kreatywnego Pisania



Pisalnik

MAGAZYN KREATYWNEGO PISANIA
NR 10

zbiór tekstów uczestniczek "Pisalni"
Akademii Kreatywnego Pisania

Oddaję w Twoje ręce dziesiąty numer "Pisalnika" ze zbiorem wyjątkowych tekstów uczestniczek "Pisalni" Akademii Kreatywnego Pisania. W tym numerze przeczytasz teksty, które powstały okresie od stycznia do kwietnia 2026 roku.

Autorki:

Julia Roguszcza

Sonia Zając

Kamila Kamińska

Sabina Kason

Sylwia Dec

Gosia W.

Luiza Maszewska

Agnieszka Malec

Aga Ładocha

Ewa Podgórna Kopciuch

Olga Stiefel

Kasia Klein

Dominika Pietruszka

Agata Schubert

Katarzyna Frelik

Beata Banaszczyk

Wiesia Paszek

Karolina Sawka

Martyna Głownia

Karolina Kulikowska

Katarzyna Lenart

Ilustrację na okładkę Pisalnika stworzyła Aga Hałas.

Jeśli jesteś zainteresowana udziałem w kursach pisania, zapraszam Cię po więcej informacji na moją stronę aleksandrakulka.pl. Miłej Lektury!

Aleks ♡♡

SPIS TREŚCI

“Eksperyment społeczny” Julia Roguszczak.....	5
“Ucieczka” Sonia Zając.....	9
“Family Frost” Kamila Kamińska.....	13
“Gdzie jest Kuba?” Sabina Kasoń.....	16
“Brzuch, brzuch, brzuch!” Sylwia Dec.....	19
“ONA” Gosia W.....	24
“Nago przez pokrzywy” Luiza Maszewska.....	30
“Uśmiech na super klej” Luiza Maszewska.....	33
“Kruszynka” Agnieszka Malec.....	36
“Olbrzymka” Aga Ładocha.....	40
“Zmiana warty” Ewa Podgórna Kopciuch.....	43
“Prima Aprilis” Olga Stiefel.....	47
“Na ławce” Kasia Klein.....	50
“Nieudany powrót” Dominika Pietruszka.....	54
“Zmiana” Agata Schubert.....	57
“Klaunica” Katarzyna Frelik.....	60
“Ucieczka” Beata Banaszczyk.....	62
“Dowcipnisia” Wiesia Paszek.....	65
“Śmierć” Karolina Sawka.....	68
“Porządki” Martyna Głownia.....	70
“Maria” Karolina Kulikowska.....	74
“Siostry Mokozy” Katarzyna Lenart.....	78

Eksperyment społeczny

Julia Roguszcza

Anka marzyła o podróży do Toskanii od lat, a wypadająca jej w tym roku 40stka była doskonałą okazją, by w końcu tę podróż zaplanować. Chciała porządnie obświętować wejście w nową dekadę życia w towarzystwie swojego męża, Karola, więc w dniu urodzin skrupulatnie wybierała lokal na kolację. Czymże byłoby świętowanie bez wykwintnej stawy? Długo wodziła palcem po Google-mapie San Gimignano i przejrzała wszystkie oceny i recenzje, w końcu wybrała. Żeby nie było zbyt ekskluzywnie ani zbyt drogo, ale też żeby nie przejechać się na nieświeżych owocach morza lub braku tiramisu w karcie. Po długim namyśle i ostatecznym trudnym wyborze między dwoma lokalami, kliknęła w końcu rezerwację na wieczór.

Teraz ten przemiły kelner, który przedstawił się jako Roberto, prowadził ich przez główną, pachnącą bazylią i czosnkiem, salę trattorii na taras, by wskazać stolik. Nim usiadła, Anka podeszła do barierki i zatrzymała się nad pięknym scenerii. Taras wychodził nad niewielką dolinę, w której rozciągało się kilka rzędów winorośli. W tle majaczyły soczyste zielone wzniesienia udekorowane majestatycznymi cyprysami. Słońce chyliło się wolno ku zachodowi, ogrzewając ostatnimi promieniami urzeczoną Ankę. Dziewczyna czuła, że nie jest w stanie opisać magii tego widoku słowami, więc postanowiła zapamiętać smak łez wzruszenia, które przetoczyły się po jej policzkach. Nic nie mogło zakłócić szczęścia i błogości tej chwili.

– Anka, zobacz! – Karol dźgnął ją palcem w ramię i podstawiając jej pod nos kartę dań, szepnął z niedowierzaniem – mają, kurde, pizzę z nutellą.

No i szlag trafił błogi nastrój. Anka westchnęła i natychmiast wróciła do rzeczywistości.

– Niemożliwe! – podjęła. – Myślałam, że we Włoszech to jednoróżec wśród pizz! Miejskie legendy! Albo, że to taki wynalazek jak ‘pizza kebab’ w naszych polskich pizzo–żabkach, tych wszystkich Marinach, Romach czy u Alfredo.

W tym momencie, gdy spojrzała na Karola, dostrzegła, co nadchodzi. Jego oczy zrobiły się okrągłe jak 5 złotych, chochliki odpaliły.

– Nie śmiesz! – chwyciła go za ramię, choć wiedziała już, że nie zatrzyma nieuniknionego. – Nie możesz tego zrobić.

– Muszę!

– A jak nas wyproszą? Nie chciałabym się już stąd ruszać, jestem bardzo głodna. Wybrałam sobie pastę – powiedziała, wskazując palcem pozycję w menu – i zamierzam ją tu zjeść.

– Nie! Nie mogę odpuścić! Marzyłem o tym od zawsze. Nie możesz mi teraz zabronić!

Brakowało tylko, żeby Karol zaśmiał się złowieszczo niczym dr Frankenstein powołujący do życia istotę z ludzkich zwłok. Anką targały skrajne emocje. Z jednej strony nie chciała zwracać na siebie uwagi obcych osób. Zjeść, napić się wina i spacerem wrócić do hotelu, tak sobie to wyobrażała. Ale z drugiej strony, kochała psotną naturę męża i mimo wszystko była ciekawa, jaki zwrot akcji ją czeka. Dlatego zanim zdążyła rozważyć za i przeciw, a wiedząc, że tym bardziej zachęci Karolka do działania, rzuciła przekornie:

– To wymaga wiele odwagi.

Albo głupoty, dodała w myślach. Karol udał oburzonego.

– Dlaczego? A co się niby stanie? Piekło się rozstąpi u Dantego? Eros Ramazzotti zapłacze z żalu? No nie wydaje mi się.

– Pamiętasz, opowiadałam Ci w ubiegłym roku, jak dla jaj zapytałyśmy naszego klienta, Enrico, o cappuccino? Czy można zamawiać po 12.00? Jak się zapowietrzył z szoku?

– Ej, no właśnie! Przecież pijesz te swoje kapucziny popołudniami.

– Tak, ale w Polsce! Tutaj nawet nie można wspominać o takim bezceństwie!

Karol zawiesił się, bezmyślnie łamiąc grissini. Wpakował kilka małych kawałków chlebowego palucha do buzi i z pełnymi ustami wybełkotał:

– Myślisz, że oni wszyscy są tacy wrażliwi na swoim punkcie?

Anka rozłożyła ręce.

– Żeby nie było, że nie ostrzegłam. Enrico na chwilę się obraził przez cappuccino-gate.

Karol zastanowił się chwilę i dodał:

– Chyba że faktycznie nas wyproszą.

– Albo nałożą na nas zakaz wjazdu do Włoch – parsknęła Anka.

Karol przełknął resztę grissini, przepłukał usta wodą i zdecydował.

– Zobaczmy, co się wydarzy. Naprawdę jestem tego ciekaw.

Wtedy jak na komendę, kelner Roberto zjawił się z notesem, by przyjąć zamówienie.

Karol się wyprostował, wyprężył i patrząc mu prosto w oczy, zapytał:

– Can I have a Hawaiian pizza?

Włoch wytrzymał spojrzenie, ale uprzejmie udał, że nie zrozumiał pytania:

– Prego??

– I would like a pineapple pizza – Karol nie mrugnawszy nawet raz, ponowił zamówienie.

Roberto nie wytrzymał. Jego mina świadczyła o głębokiej urazie i ogromnym bólu. Wyglądał, jak ktoś, komu zadrapano ukochaną Vespę. Założył długopis za prawe ucho, a potem wprawnym ruchem złączył palce opuszkami do góry i zaczął poruszać dłońią w górę i dół, płynnie pracując nadgarstkiem. Było to ruch hipnotyzujący, wręcz magiczny. Zupełnie nie korespondował z oszałamiającym tempem wylewającego się potoku włoskich wyzwisk. Karolowi udało się zapamiętać jedynie te najbardziej uniwersalne:

– Mamma mia! Stupido! Dio mio! Santa mozzarella!

Gdy kelnerowi zabrakło tchu, drżącym głosem, włoską angielszczyzną, dodał:

– I will give you few more minutes to think – odwrócił się na pięcie i pomaszerował w stronę kuchni.

Karol zerknął na Ankę, ale nie był w stanie ocenić jej reakcji. Dziewczyna tkwiła nieruchomo nad stołem, z twarzą skrywaną w dłoniach i głową pochyloną tak, że zasłaniały ją włosy. Karol czekał. Ramiona Anki zaczęły delikatnie drżeć, jednak

nadal nie było wiadomo, czy to śmiech czy płacz. Gdy Karol zaczynał się już poważnie martwić bezgłośnym łkaniem dziewczyny, Anka puściła twarz, odchyliła się na krześle i zaczęła chichotać jak szalona. Gdy oczom Karola ukazały się zaczerwienione policzki i szkliste od łez oczy, odetchnął z ulgą i się uśmiechnął.

– Takiego scenariusza się nie spodziewałam!

Anka starała się tłumić śmiech. Na zmianę zasłaniała dłonią usta i wycierała łzy spod oczu.

– Przecież on prawie tu zemdlał! W życiu się bardziej nie ubawiłam!

– Anka, co ty. Takiej reakcji się po tobie nie spodziewałem. Jesteś jeszcze gorsza niż ja – ocenił Karol pękając z dumy.

– Wspaniały eksperyment społeczny! Jutro ja wkraczam do akcji, a co! Zamówię cappuccino po 12.00, zobaczymy co się wydarzy.

Ucieczka

Sonia Zając

Ewa przedziera się przez zmarznięty śnieg, który trzeszczy jej pod przemoczonymi trekami. A raczej jest przez niego przeciągana. Koperek szarpie na smyczy jak wściekły i ujada na rowerzystę ciągnąc ją we wszystkie strony. Bach – oczywiście się wyjebała. Nie mogło być inaczej.

Koperek ewidentnie ma to w dupie. Pola stoi obok i to pierwszym moment, kiedy coś ją wreszcie ucieszyło tego dnia. Matka leżąca na glebie i szarpiący nią jak szmacianą lalką czarny jebaniec. – Mały belzebub – Ewa wymamrotała pod nosem patrząc na córkę. Otarła chusteczką żółte, gęste gluty, które spływały jej z nosa. W sumie to nie chciało jej się nawet wstawać.

Może posiedzi tu i poczeka aż coś wreszcie się zmieni? Aż to wszystko się skończy? Resztki rozsądku podpowiadają jej że, nie może siedzieć z psem i dzieckiem na środku oblodzonej ulicy. Kilkadziesiąt metrów dalej zamajaczyły jej światła auta. Może zaprowadzi je na chodnik, a sama sobie tu poleży? Kurwa, nie może, zafunduje im traumę na całe życie i nawet w grobie będą ją męczyć wyrzuty sumienia.

– Koperek uspokój się! Natychmiast! – Ewa krzyczy w stronę wściekłej kuli futra, łapiąc równowagę i chwytając rozbawioną Polę za kaptur. I jeszcze kurwa te sanki. Co jej strzeliło do głowy? Matka kurwa Polka, pies, dziecko, sanki, plecak. Jak jebany renifer popierdala przez te śniegi. I co? Gówno. Pola i tak na nich nie jedzie, bo śnieg za twardy, za dużo lodu, za wielkie wertepy. Za ślisko, za zimno, za twardo, y y y i ona nie chce. Chce na opa.

– Przecież umiesz chodzić Pola – zwraca się do córki. – Niiieee nie chce, ślisko, ślisko, ślisko – słyszy w odpowiedzi. Mówić też umie i to całkiem niezłe, ale dziś używa maksymalnie 2 wyrazów w jednym zdaniu plus kilku liter alfabetu.

y y y

a a a

y y y

Taka szarada dla matki na rozruszanie umysłu. – Opa, opa, mama opa – jak kurwa na opa myśli Ewa z tymi saniami, psem, lodem pod stopami? Ja pierdole. Wezmę ją to się wyjebiemy. Nie wezmę będzie ryk.

Nie unikaj płaczu dziecka – mówią piękne i mądre panie z Instagrama tym swoim opanowanym i pełnym spokoju głosem. Płacz jest dobry, to ważny komunikat – pouczają. Smutek, złość, frustracja to naturalne. Dziecko się uczy, a ty matko weź oddech i zaopiekuj się emocjami dziecka i swoimi.

Ewa nie ma siły się opiekować. Brnie przez śnieg, jak cholerny Anaruk i ma ochotę wystrzelić w kosmos. Wylecieć gdzieś daleko, gdzie przez chwilę będzie miała trochę spokoju i ciszy. Gdzie przez kilka minut, nie stop, dni, a może tygodni nikt nie będzie od niej nic chciał. Nikt nie będzie jej dotykał, ładował swoim smutkiem, strachem, złością, żądaniami. Albo gdzie przez krótki moment nie będzie słyszała w głowie tego głosu, który mówi jak powinna robić to i tamto i co robi źle. Gdzie ucichnąć wyrzuty sumienia, że nie umie, nie potrafi, nie daje rady. Głosy, które mówią, że pewnie jest chujową matką, że się nie nadaje, że nad niczym nie panuje.

– Łyz, łyzy łyzy – wrzeszczy nagle Pola połykając swoje glutę. – Ale co łyzy Pola? – Łzy, łyzy, łyzy – krzyczy cała czerwona na twarzy dziewczynka. – Wytrzymaj, wytrzymaj, wytrzymaj – wyje głośniej.

Ile cierpliwości może mieć w sobie człowiek? Ile da radę unieść?

– Przecież sama tego chciałaś – słyszy w głowie słowa, które kiedyś usłyszała.

Chciała. Chciała psa, chciała dziecko, chciała iść dzisiaj na spacer, mimo, że alerty pogodowe kazały siedzieć w domu. Sama tego chciała to niech ogarnia swój rydwan i ciśnię. I to nie byle jak. Ogarnia w duchu wychowania bliskościowego, komunikacji bez przemocy, traktuje po partnersku, ale jako przewodniczka, z szacunkiem i cierpliwością. Ze zrozumieniem, dojrzałością, odpowiedzialnością i czułością.

Ewa nie ma w sobie ani kropli człości. Wylało się z niej też zrozumienie, cierpliwość i wszystko inne. Ma w sobie tylko glutę, całe morze zmęczenia,

przeciążenia, wkurwu. Złość trzeszczy jej w uszach jak lód i w dupie ma te wszystkie instagramowe rady dla cyborgów.

Czy te laski z instagrama są normale? – zastawia się. Czy to ze mną jest coś nie tak? Pewnie to ja. To je nie umiem panować nad sobą, za szybko tracę cierpliwość, nie potrafię zrozumieć 4 latki i wkurwiam się na to biedne dziecko, które po prostu nie umie inaczej.

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Bo zawsze to wina matki.

Panie z Instagrama mówią, że jak już czujesz, że nie możesz, że cię chuj strzela, że dłużej nie wytrzymasz to alarm. Alarm, czerwone światło, io io io czas zadbać o siebie. Zrobić dla siebie coś miłego. Zaopiekować się sobą, swoim wewnętrznym dzieckiem czy chuj wie kim.

Joga, medytacja, masaż. Aromaterapia, maseczka na twarz, herbata z liści suszonych na Madagaskarze. Wypad do Aspen z przyjaciółkami, dziki, spontaniczny seks z mężem, koktajl z jarmużu. 10 powitań słońca. Trzeba odpocząć, odetchnąć i wtedy się ułożyć.

Znowu będziesz najlepszą wersją siebie. Matką spokojną, opanowaną, czułą. Racjonalną i mądrą, która nie spierdoli życia dziecku krzykami, pretensjami, wybuchami. To kwestia organizacji. Na pewno jakoś to wciśniesz. W czasie kiedy twój bąbelek rozwija tak niezbędną w życiu umiejętność samoobawy, ty masz przestrzeń na swój samorozwój i odnowę. Ah te współczesne matki. Tylko ciągle narzekają, histeryzują, użalają się nad sobą, że im ciężko.

Sama tego chciałaś. Sama tak wybrałam.

Dziewczyny spokój – Ewa już nie wrzeszczy, ale mówi głośno i stanowczo. – Teraz macie mnie słuchać – zbiera w sobie resztki cierpliwości. Wciąga nosem gluty, podnosi się z ziemi, przywiązuje sobie do pasa sanki. Bierze na ręce Pole, a Koperka na krótką smycz. – Wracamy do domu. Zaraz będziemy. Będzie ciepło, zjemy zupę. Odpoczniemy.

Ewa i jej rydwan śmierci. Człapią przez śnieg, a Ewa myśli tylko o tym jak łatwo byłoby mieć święty spokój. Jakie to musiałyby być zajebiste uczucie po prostu zostać na tej oblodzonej ulicy. Zniknąć, rozpuścić się jak śnieg. Rozpaść się na

kawałki i już nie musieć nic słyszeć, czuć, nad niczym się zastanawiać. Nie myśleć. Uciec. Dużo prostsze i bardziej obiecujące niż rady pań z Instagrama.

– Jesteś mamą skarbem mym, Kocham cię z całych sił – zaczyna nucić w tym czasie Pola, która nagle, w niewyjaśniony sposób, odzyskała dobry nastrój i umiejętność budowania złożonych zdań. Ewa nie wie czy się śmiać czy płakać.

Córka jak zwykle ma doskonałe wyczucie chwili. Ewa bierze wdech i wydech. – Damy radę – powtarza sobie w myślach. Ja dam, bo jak mówi Pola dziewczyny zawsze dają radę. A w tym kosmosie, mimo, że o nim marzy, pewnie umarłaby z tęsknoty za swoim rydwanem. Po prostu nie będzie jak z Instagrama. Będzie po ludzku. Z glutami, krzykami, łzami, złością i miłością.

Family Frost

Kamila Kamińska

– Dzień dobry panie prokuratorze – Ewa skinęła głową podnosząc taśmę zabezpieczającą leśny teren.

– Co mamy? – Komarnicki jeszcze przed chwilą nieobecny duchem po przekroczeniu miejsca zbrodni jakby ożył.

– Przeczესujemy teren w poszukiwaniu kolejnych części. Wstępnie założyliśmy, że denat zmarł z wychłodzenia, a ciało rozniosły żerujące zwierzęta. Ale patolog ma inne zdanie.

– Kto?

– Patolog – spojrzała podejrzliwie – dobrze się pan czuje?

– Tak, Ewa, wiem, że patolog, pytam kogo przystali.

Wtem spomiędzy drzew dobiegł go rechot zakończony kaszlem.

– Miruś! Chodź, chodź, mamy lody, dużo lodów na patyku – Tkanka pokastywał jeszcze trzymając zmrożoną bryłę w dłoni.

– Co ty tu do cholery robisz stary durniu? – Komarnicki nie silił się na szept, zwracając uwagę całej ekipy.

– Family Frost jeżdżę. Zobacz co znalazłem. To podudzie. Lekko rozmarzło w dłoniach, ale i tak całość musimy zabrać na sekcję. Potem poskładamy puzzle.

Komarnicki wzdrygnął się, widział niejedno, a poćwiartowane zwłoki zawsze działały mu na wyobraźnię.

– Coś wiemy o denacie? Jakies dokumenty?

– Tak, portfel leży u techników. Próbują wydzwonić jego żonę. To ten zaginiony kochaś z masarni.

– Mikołajczak?

– Yhym. Mamy głowę, klatka leży głęboko, od obojczyków do pasa zapadła się w śniegu, a te pieprzone mrozy zrobiły swoje, także pogłębiamy dookoła, żeby nie

naruszyć przy wyciąganiu. Większość kończyn znaleziono, cięte na pół w okolicy kolana. Brakuje jednej rzepki, ale znajdzie się na wiosnę– zaśmiał się kaszłąc.

Komarnicki rozejrzał się po okolicy. Las otulony białym puchem milczał. Nie było słyhać nawet ptaków. Założył, że ekipa skutecznie przepłoszyła zwierzynę, która i tak zważywszy na pogodę nie miała lekko. W oddali pod paśnikiem majaczyła czyjaś sylwetka. Skinął do mundurowego, aby przegonił gapia, a sam rozpoczął obchód między drzewami. Stawiał ostrożnie kroki na przeczesanym już podłożu, rozglądając się za najdrobniejszymi śladami, rozbryzgami, ale naprzemienne mrozy i odwilże utworzyły z poszycia coś, co przypominało przemielony pasztet wyrzygany wraz

z czerwonym winem, które wciąż mu się odbijało.

– Panie prokuratorze, ta pani chciała porozmawiać– policjant stał poza taśmą z opatuloną grubym szalem blondynką.

– Dzień dobry, bo ja coś chyba widziałam. To znaczy nie wiem, czy to ma związek– wysunęła dłoń w czarnej rękawiczce, z której jeszcze dyndała rozmoczona metka– byłam z psami i pobiegły za sarną czy innym stworzeniem, wie pan, mrozy takie, ale to psy, one wyczuwają wszystko. Brnęłam przez zasy nawołując je i przypadkiem na coś nadepnęłam. Torebka prezentowa była rozmoczona, sznurek splątany. Myślałam, że jakieś pijaki butelki zostawiły. Albo te co się zabawiają tu latem z chłopami, ale

w taką pogodę to bym się zdziwiła. Wie pan, w wakacje to tu koce rozkładają sobie i pikniki erotyczne robią.

Zawstydziała się wyraźnie i szybko zmieniła wątek.

– Tu co prawda nikt się nie kręci, od sklepiku daleko, ale ludzie śmiecą na potęgę. Schyliłam się, żeby zerknąć co jest w środku. A tam zafoliowane perfumy i te rękawiczki. Na prezent jak nic. Eleganckie takie, prawie skórkowe, ale nikt nie zginął, bo to sztuczne– pogładziła rękawiczkę z rozmarzeniem.

– Czy widziała pani zwłoki?

– Zwłoki? Nieee, ja nic.

– A jakieś fragmenty? Krew?

– Nie, nie, od razu bym przecie dzwoniła po policję.

– No dobrze, a czy widziała pani kogoś? Ktoś się oddalał? Albo na drodze?
– Nie, ale ślady kół były świeże. Wiem, bo sypało lekko, a te były ładnie wyklepane więc po nich szłam, żeby nie moczyć portek.

– Sikora, zabezpieczyliście drogę? – Komarnicki zwrócił się do młodszego aspiranta.

– Pobrali bieżnik, ale niewiele z tego będzie, bo za mocno nasypało na zmrożoną warstwę. Auto na pewno duże, terenowe. Myśli pan, że go przewieziono tutaj?

Komarnicki przewrócił oczami i wymownie wskazał na świadka, karcąc młodego policjanta wzrokiem.

– Na razie dziękuję, chłopaki spiszą pani dane i w razie pytań będziemy się kontaktować. Muszę jednak prosić o zwrot torebki i prezentów. Musimy też pobrać od pani materiał biologiczny.

Blondynka zrobiła krok w tył i pocierała dłonie odziane w eleganckie rękawiczki.

– Czy to konieczne?

– Proszę pani, to miejsce zbrodni, skoro znalazła pani tutaj te przedmioty mogą one być kluczowe w sprawie – Komarnicki wyjął torbę na dowody i czekał, aż kobieta zdejmie rękawiczki, z którymi najwidoczniej nie mogła się rozstać.

Chyba że? Chyba że martwi się o swoje DNA? – przemknęło mu przez myśl.

– A perfumy? One były zafoliowane, ale ja dwa razy psikałam. Mąż mówi, że ładne, eleganckie, że pasują do takiej kobiety. A sam to nigdy mi takich nie sprawił – wyraźnie posmutniała.

– Perfumy również musi pani zwrócić. Młodszy aspirant Sikora pójdzie z panią do domu spisać dane i pobrać wymaz. Ewa? – krzyknął prokurator – podjedziesz z Sikorą do tej pani?

– Zaraz! – Ewa Drzymała kuciała akurat nad kolejnym fragmentem zwłok i wybałuszała oczy. Z bryły lodu przebijał niewyraźny kształt prącia.

– Ja pierdolę – szepnęła.

Gdzie jest Kuba?

Sabina Kason

O trzeciej nad ranem ktoś puka do drzwi naszego domu. Nieprzytomnym wzrokiem zerkam na zegarek. Bogdan przekręca się w moją stronę i zaspanym głosem, szeptem mówi:

– Kto to może być o tej porze?

– Idź zobacz, ja się boję otworzyć. W razie czego, będę dzwonić na milicję. – asekuracyjnie kładę dłoń na słuchawce naszego telefonu. Kiedy Bogdan zaczął pracę w Komitecie Miejskim PZPR, nagle przesunęli nas na początek kolejki w oczekiwaniu na telefon. Wcześniej zawsze były jakieś przeszkody – a to nie było wolnego numeru, a to nie mogli dociągnąć kabli. A tu – w ciągu miesiąca wszystko się udało rozwiązać. Jednak partia może wiele.

– Kto tam? – słyszę głos męża dobiegający z przedpokoju. Boazeria, którą jest wyłożony powoduje, że słycać, jakby głos dochodził z pudełka.

– Mazurkiewiczowa. Kuby szukam.

Ach! Czyli nic strasznego się nie dzieje. Kiedy zakładam podomkę słyszę dźwięk przekręcanego zamka górnego i brzęk kluczy, którymi Bogdan otwiera drzwi, żeby wpuścić matkę chłopca, który jest najbliższym kolegą naszego Maćka.

– Przepraszam, że tak po nocy. Ale wróciłam o 2 z nocnej zmiany w fabryce, weszłam do Kuby do pokoju i zobaczyłam, że nie ma go w łóżku. Pomyślałam, że może nocuje u Maćka. Ale strasznie się denerwowałam, bo nigdy nie chodzi gdzieś tak, żeby mi kartki nie zostawił gdzie poszedł. I nie mogłam czekać do rana. Bo jak mu się co stało, to muszę zaraz na milicję lecieć. Zaginięcie zgłosić. – Mazurkiewiczowa była bardzo zdenerwowana. Między kolejnymi zdaniem obgryzała paznokcie. Widziałam, że trudno jej sklecić logiczną wypowiedź. I ja się jej wcale nie dziwiłam, bo jakby Magdy albo Maćka nie było na noc w domu i ja nie wiedziałabym, gdzie są, to też bym się denerwowała.

– Pani Mazurkiewiczowa, nie, nie ma go u nas. Ale zaraz obudzę Maćka i zapytam, czy on coś wie.

Kątem oka widziałam tylko, że kobieta zbladła, a obgryzanie paznokci przybrało na sile. Chyba tego w ogóle nie kontrolowała.

Podeszłam do drzwi pokoju dzieci. Cicho uchylłam drzwi, ale kiedy tylko weszłam, zobaczyłam, że nie muszę silić się na ciszę, bo i Madzia i Maciek siedzieli na swoich półkotapczanach. Madzia zapaliła lampkę nocną.

– Co się stało mamó? – w jej głosie słyszałam strach, ale i zaciekawienie.

– Mama Kuby przyszła. Mówi, że nie ma go w domu. Wiecie coś, gdzie mógł pójść?

– Halinka, jak dzieci i tak nie śpią, to niech przyjdą do dużego pokoju i opowiedzą, co wiedzą o Kubie. – Z przedpokoju doleciał głos Bogdana. Jednocześnie słyszałam, że zapraszał Mazurkiewiczową, żeby weszła za nim do pokoju.

– No to chodźcie.

Delikatne światło lampy z gazetnikiem oświetlało duży pokój. Byłam bardzo dumna z wystroju naszego pokoju – stała tam meblościanka na wysoki połysk, stół z sześcioma krzesłami, wersalka i dwa fotele. Mama Kuby siedziała już na jednym z nich.

– Dzień dobry. – Dzieci przywitały się cicho.

– Och, czy on dobry, to ja nie wiem. – Głos kobiety zaczął się załamywać. – Maciuś, ty wiesz może, gdzie jest Kuba? On ci nic nie mówił? Że gdzieś się wybiera? Na noc? Powiedz mi wszystko, bo ja od zmysłów odchodzę.

– Nic nie wiem, proszę pani. Widziałem Kubę wieczorem, byliśmy razem pograć w piłkę. Przy zaporze. Ale wracaliśmy stamtąd razem rowerami na osiedle i rozstaliśmy się pod blokiem. Potem ja pojechałem do domu, a Kuba chyba do siebie. Nic nie mówił, żeby miał gdzieś jeszcze iść. Zresztą i tak ściemniało się już, więc to bez sensu było gdzieś jeszcze iść, bo piłki już nie widać przecież.

– Ale może do jakiegoś kolegi miał jeszcze iść? Nic nie wiesz?

– Nie. No graliśmy całe popołudnie w piłkę. Potem jeszcze przyszły dziewczyny – Maciek wskazał głową na Madzię – i graliśmy razem w zbijaka. We czwórkę to tak trochę słabo, ale nie było nikogo więcej.

– A gdzie graliście? – głos Bogdana był dużo spokojniejszy niż matki Kuby.

– Na polance, obok zapory. Tam już niedaleko wejścia na szlak.

– Maciek, powiedz jeszcze o tej jamie. – Już wcześniej wyczułam, że Madzia coś bardzo chce powiedzieć. Ale zdecydowała się odpowiedzialność za ujawnienie informacji przerzucić na brata. W sumie to dobrze, dziewczynki powinno być widzieć, a nie powinno być słyszeć. Dobre dziecko, pomyślałam o niej z czułością.

– Co za jama? Maciek, mów. – Teraz Mazurkiewiczowa obgryzała paznokcie już na potęgę.

– No bo, jak graliśmy w piłkę, to w pewnym momencie ja za mocno uderzyłem i piłka potoczyła się w stronę zbocza, w zarośla. I myśmy wszyscy jej szukali. Ale nie mogliśmy znaleźć długo. No i Kuba poszedł w stronę szlaku i mówił, że tam jakaś dziura była w górze. Jakby wejście do jakiejś jaskini czy czegoś. I że on słyszał stamtąd jakieś głosy. Ale znalazł piłkę i uciekł stamtąd. Potem chciał mnie jeszcze i dziewczyny namówić, żebyśmy tam razem poszli. Ale dziewczyny to w ogóle się bały po krzakach chodzić. A ja nie miałem ochoty, bo byłem już zmęczony graniem.

– O, proszę, jak Maciek pięknie pokazał, że on się w ogóle nie bał. A to cwaniaczek jeden. – No i mieliśmy tam jutro się pokręcić, jak będzie jasno. Ale nie sądzę, żeby Kuba tam sam, beze mnie polazł.

– A jednak nie ma go w łóżku. – Mazurkiewiczowa zaczęła lamentować.

Bogdan w tym czasie podszedł do telefonu. Drugi aparat mieliśmy właśnie w dużym pokoju. Wybrał krótki numer. Po chwili czekania powiedział

– Halo, milicja, chciałem zgłosić zaginięcie dziecka.

Brzuch, brzuch, brzuch!

Sylwia Dec

– Zostawić czy wyrzucić? – zupełnie naga Krystyna wyciągnęła z walizki niebieskie szorty i spojrzała na nie krytycznie w odbiciu lustra. Spędziła w łóżku z Michałem całe popołudnie i całą noc, a teraz rano rozkręcał się nad tym cholernym, zgrzanym kawałkiem skały, zwanym głupio Teneryfą, największą z Wysp Kanaryjskich. Krystynę dalej wkurwiał zaduch, irytował chłód kamiennego, białego domu, a szum oceanu doprowadzał do szewskiej pasji. Cały czas. Bez chwili przerwy. Nawet teraz, przy zamkniętym oknie i zasuniętych zasłonach z ciężkiego lnu. Nic dziwnego, że oni tu jebnięci na tej Teneryfie, jak coś im cały czas szumi nad głową.

Ale teraz, po upojnym popołudniu i równie upojnej nocy, nawet jej osądy nabierały na łagodności.

– A załóż – Michał spojrzał na nią figlarnie i uniósł się na ręce. Był okręcony koldrą, ale Krystyna i tak czuła, że na sam dźwięk jego głosu jej apetyt rośnie. Ni chuja nie rozpakuje dzisiaj tej walizki. Wstała, by znaleźć ubranie i włożyć wszystko do bambusowej szafy, ale ledwie wyszła z łóżka, a miłosna grawitacja zaczęła ściągać ją z powrotem.

Porządki po seksie, pomyślała, chyba zupełnie przegrzało mi tu beret.

– Jeśli mam założyć, to musisz mi oddać majtki – odparła jednak rzeczowo, a Michał posłał jej bezczelny uśmiech.

– To musisz je wykupić.

Krystyna cisnęła w kąt cholerne szorty i usiadła z powrotem na łóżku. Przysunęła się do Michała, ale nie dała się wciągnąć pod koldrę – spojrzała na niego z góry, na te orzechowe oczy, otoczone siatką zmarszczek, na te wąskie usta i po raz pierwszy od dawna poczuła się tak, jak wtedy, gdy dopiero się poznawali.

– Jesteś chorym pojebem Michał – stwierdziła to takim tonem, jakby szeptała mu na ucho najczulszy komplement – Podkradłeś mi majtki za zakładnika.

– Każdy pretekst jest dobry, nieprawdaż? – Michał cmoknął ją delikatnie w ucho, a południca skapitulowała. Złapała za kołdrę, przylgnęła do Michała i dała się otoczyć jego ciepłymi ramionami.

– Gdy jechałam do sanatorium, myślałam, że tam będzie zmuła i nuda – szepnęła zalotnie. – A tu proszę, spotkałam chutliwego, starego planetnika.

Tak, Krystyna w osobliwy sposób definiowała zaloty. Ale Michałowi to nie przeszkadzało. Michał odgarnął tylko muśnięte srebrnej pasmo z jej twarzy i szepnął.

– Zmuła i nuda tam panowały, dopóki ty nie przyjechałaś.

A potem zaczął ją całować wszędzie tam, gdzie Krystyna chciała.

*

Tego dnia nic nie było w stanie wkurwić południcy. Nawet to powietrze, co wpływało w jej płuca, wydawało się jakieś znośniejsze, ciepłe, ale takim innym rodzajem duchoty. (...)

I dopiero wieczorem przypomniała sobie o tym, że miała rozpakować walizkę.

*

Przez chwilę poczuła się tak, jakby stare demony wróciły do pełni mocy. Pamiętała, jak przeglądała te ciuchy ostatni raz, w tę noc, gdy zaatakował Srała Bartek. Pamiętała to smutne odkrycie, jedno z najsmutniejszych w tej cholernej starości, że nie mieści się już w spodenkach i bikini, w których zawsze wyglądała ultra-sexi. Wtedy nie miała czasu tego roztrząsać głębiej, spakowała wszystko jak leci i pognali na lotnisko.

Ale teraz trzeba było jednak z nimi się rozprawić.

Gdy jednak Krystyna znów wyciągnęła te cholerne, za małe szorty, miała wrażenie, że patrzy na nie innym okiem. Dobra, są za małe, ale czy to koniec świata? Dobra, bebecz jej sflaczał, ale czy to nie znaczy, że nie może być dalej sexy? Pamiętała przecież, jak Michał na nią patrzył.

To chyba jego rozmarzony, głodny wzrok przypomniał jej, że bycie sexy zależy od wielu rzeczy, ale na pewno – nie od rozmiaru spodni.

Zasunęła lniane zasłony. Ściągnęła z siebie długą sukienkę, w której chodziła od rana. Ostrożnie zaczęła wsuwać szorty. A może coś się zmieniło? Może schudła od tej nagłej ucieczki? Może dieta złożona z ośmiornic i innego morskiego gówna ją zmieniła? Nie było co się łudzić, jadła tak zaledwie od wczoraj, ale któż zabroni smakować nadziei.

Gdy niebieski dzins dojechał jednak do bioder, nadzieja Krystyny ostatecznie upadła.

Znów złapała za dwie strony paska. Znów spróbowała je ze sobą zbliżyć, dziurkę do guzika, guzik do dziurki. Nic z tych rzeczy. Na ich drodze znów stanął on. Bebech, bęben, bebzon. A raczej jego miękka, sflaczała, skompresowana do szerokości zmaltretowanego naleśnika fałda.

Krystyna przyjrzała się krytycznie tej fałdzie. Ja pierdolę, pomyślała, to przecież kiedyś było takie gładkie i jędrne. Ba, ona była gładka i jędrna. A teraz? Gęba cała w zmarszczkach, na nogach cellulit, z rąk zwisa skóra, a na brzuchu...

– Brzuch, brzuch, brzuch – Krystyna poklepała się po fałdzie, aż poszły przez nią lekkie wstrząsy, jakby tłuszcz był taflą wody, która odbija kamień. – Nic dziwnego, że tak się nazywasz.

Puściła zupełnie spodnie i zaczęła się bawić fałdą. Ścisnęła ją z jednej strony, z drugiej, złapała tak, by ułożył gadające usta z pępka. No i chuj, nie jest już młoda i piękna, to przynajmniej będzie stara i zabawna.

– Brzuch, brzuch, brzuch! – zaśmiała się, udając, że to z jej pępka wydobywa się ten głos.

A potem to usłyszała.

Najpierw przez szum oceanu przebił się odgłos kroków. Potem spod zasłoniętego, ale otwartego okna, dobiegły ją czyjeś szepty. I ledwo Krystyna zdążyła puścić fałdę, ledwo zdążyła złapać za spodnie, a za oknem nagle zachwiały się czyjeś cienie.

– KRYSTYNA SIĘ NIE DOPINA! KRYSTYNA SIĘ NIE DOPINA! – zawołał gromko chór demoniāt.

A Krystyna stanęła jak wryta. Gdyby meteoryt spadł teraz z nieba i dał jej prosto w pysk, nie poczułaby się tak, jak teraz. Gardło spięło jej się jednocześnie do wrzasku i płaczu, dłonie puściły jebane szorty i zacisnęły się w pięści, choć jeszcze drżały. Oddech nagle urwał się Krystynie i południca rzuciła się do okna tak, jakby miała zaraz paść trupem... albo położyć trupem kogoś innego.

Ale za oknem nikogo już nie było.

Zostało tylko echo szyderczych wrzasków, które dudniło w jej głowie.

*

Nie czekała. Nie zamierzała dochodzić. Ubrała tę cholerną sukienkę i wypadła na korytarz domu. Świat dookoła rozmazywał się przed jej oczami, a Krystyna nie wiedziała, czy to na płacz, czy to na mord.

Za to była pewna czegoś innego.

– Michał! – wrzasnęła, gdy z drugiej strony korytarza wyszedł planetnik, cały utyłany ziemią i w ogrodniczych spodniach. – Wyjeżdżam. Masz pięć minut na to, by znaleźć mi jakieś all exclusive.

Michał stanął na środku korytarza.

– Słucham? Co się stało? – wyciągnął do niej ręce, ale Krystyna dała mu po łapach.

– Nic się do kurwy nie stało. To był chujowy pomysł, żeby tu przyjeżdżać – warknęła.

– Ale Kryś... – Michał znów próbował złapać ją za dłonie, zbliżyć się jakoś, przytulić, cokolwiek.

– Zostaw mnie, Michał! – Krystyna odepchnęła go jednak. – Idź do swojej Glorii, zapytaj ją, co wrzeszczała.

Michał spojrzał na nią tak, jakby właśnie wyrwała mu pół serca. Ale południca na to nie zważała. Była pewna, że to gówniara i jej nastoletnie kumpelusia wpierdoliły się w jej okno. Ale gdzież on by jej w to uwierzył?

– Nic nie rozumiem – wyszeptał bezradnie Michał.

Krystyna ucięła zimno:

– I nie musisz.

*

Kwadrans później jechała samochodem. Za kierownicą siedział ZombiePiotruś. Ale nie miał odwagi ani gadać, ani besztać innych kierowców tak, jak lubił najbardziej.

A po twarzy południcy ściekały łzy.

Nigdy jeszcze nie poczuła się tak stara.

Nigdy jeszcze nie poczuła się tak upokorzona.

Południca Krystyna to bohaterka mojej serii urban fantasy. Możesz ją poznać w książce "Krystyno, uspokój się", wydanej przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. A jeśli lubisz wiedźmowe i balkonowe tematy, sięgnij po moją drugą serię – perypetie wiedźmy balkonowej Anieli Jasnej i jej gadającego kota Grażyny. Do tej pory ukazały się dwa tomy – "Do Jasnej Anielki. Balkony i demony" oraz "Do Jasnej Anielki. Monstery i afery."

ONA

Gosia W.

Jason odpalił papierosa. Pierwszego od pół roku. No może nie do końca, ale się starał. Obłoczek dymu uformował się w puchatą szaro-białą kulkę i przetoczył się przez kuchnię, znikając w zakurzonej zasłonce na wąskim oknie. Nie powinien palić.

Ale przecież nikt nie patrzył.

Alice nie było w domu, a kotu było przecież wszystko jedno.

Alice.

Wyszła z domu sześć godzin i dwanaście minut temu. Wyglądała cudownie – długie blond włosy, niebieska sukienka przywieziona z Wenecji i rubinowe kolczyki, które jej kupił na trzydziestkę.

A jednak nie chciał sobie przypomnieć jej twarzy. Ani ściągniętych w ciasną linię, wymalowanych ust, ani zielonych oczu, spoglądających spod zmarszczonych brwi.

Była taka zła.

Zła na niego.

A on przecież nie wiedział o co jej chodziło. Chciał tylko żeby przestała naciskać na...

– *Czy znasz kogoś kto jest samotny? Pamiętaj o swoich sąsiadach, kolegach z pracy. Rozejrzyj się w okół! Być może ktoś potrzebuje Twojej pomocy* – Głos z telewizora wykrzykujący tekst najnowszej kampanii społecznej “Zauważ” odwrócił uwagę Jasona od mrocznych rozmyślań nad obecnym statusem jego związku.

Mężczyzna westchnął i opadł na kanapę z talerzem różnorodności, który dziś miał być jego kolacją.

Alice wróci późno. Na wesołe śniadanie pewnie też nie miał co liczyć.

W domu było chłodno. Oszczędzali na ogrzewaniu, bo zbierali na nowy samochód. Jason narzucił koc na kolana i rozprostował zmarznięte palce.

Marszcząc nos, odepchnął na bok plasterki ogórka i zaczął od rolek suszonej szynki.

Kurwa – zaklął w myślach. Wiesz, że wychowałeś się w katolickim domu, kiedy pierwsze co przychodzi ci do głowy przy jedzeniu mięsa to myśl “czy dzisiaj nie piątek?” A zaraz potem możesz się skarcić za nie przepisowe “kurwa”, bo przecież nic takiego się nie stało.

Nieprzyjemne uczucie, podobne do letniego powietrza przed burzą, kłuło go w boku od kiedy Alice wyszła. Chwytał ją za każdą część jego wnętrza na swojej drodze, unosiło się teraz powoli w kierunku żołądka.

Trzeba wziąć się za coś...

Rozejrzył się za pilotem, chciał zmienić kanał.

Kilka zdradzieckich winogron sturlało się z talerza na podłogę.

Jason zaklął. Tym razem na głos.

A pilota nie było.

Na kanale czwartym właśnie zaczynał się jakiś denny, amerykański kryminał. Trudno. Jakoś to strawi. Wszystko lepsze niż cisza i myślenie, dlaczego się pokłócili.

*

Alice nie mogła się skupić na tej przaśnej zabawie– pytanie czy wyzwanie, która trwała już od dwudziestu minut. Siedziały z dziewczynami w White Rabbit w centrum miasta, bo Betty obchodziła trzydzieste piąte urodziny, a ona sączyła szósty sok bananowy z syropem porzeczkowym.

Skubana – pomyślała spoglądając na Bets – nie wygląda nawet na trzydziestkę.

Dziewczyny paplały, chwaliły się podbojami albo cwanyimi zagrywkami. A ona nadal nie mogła się skupić. Nie słuchała. Myślała o tym, co zostawiła w domu. Martwiła się o Jasona. On najwyraźniej nie rozumiał, że chciała dla niego dobrze, nie rozumiał, czemu była rozgniewana.

Dam mu moment. Może ochłonie– myślała planując plejadę wymówek by zwinąć się z tej imprezy przed świtem. Tak naprawdę, chciałyby wyjść już teraz.

Może będzie mogła wszystko wytłumaczyć? Może mu jednak powie...?

*

Jason porzucił na chwilę plany poszukiwania pilota. Kryminał trochę go jednak wciągnął. Co prawda dudnił za głośno, ale jak będzie chciał, zawsze może wstać i ściszyć na ekranie. Rudy kot leżał zwinięty w kłębek na poduszce obok, zadowolony ze znalezionej kiełbasy, która niepostrzeżenie uciekła Jasonowi z talerza. Jednak jego właściciel wcale się tym nie przejmował.

Myślał o Alice.

Chciała, żeby był bardziej odpowiedzialny. Żeby przestał tyle palić (przecież już pół roku dawał radę!) i poszedł w końcu zadbać o formę, żeby zdrowiej jadł. Czy ona znalazła kogoś innego? Czy do kogoś go porównywała? Pewnie te durne koleżanki nakładły jej historyjek o swoich chłopakach do głowy i...

No tak. Ale po co kazałaby mu wziąć od nowego roku mniejszy etat. Czy te dziewczyny nie chwaliły się zawsze kasą, którą trzaskają ich faceci? Jak będzie miał czwartki wolne to zarobi mniej... Poza tym Alice nie była taka. Chciała dla niego dobrze. Ale dlaczego teraz, dlaczego to wszystko?

Boże, czemu on tak na nią nakrzyczał. Ona jak zawsze była spokojna, chciała, żeby rozmawiał, żeby zrozumiał. A on tylko powtarzał to samo. A potem wyszła. Nie trzasnęła drzwiami, ale cichy zgrzyt klucza w zamku zabolął nawet bardziej.

"Będę późno. Pomyśl o tym" to były jej ostatnie słowa wypowiedziane dziś do niego.

Postanowił na nią poczekać, może jeszcze się uda. Może pogodzą się zanim będzie musiał rano iść do pracy...

*

Alice siedziała w autobusie. Udało jej się wykręcić sennością i zmęczeniem. Na szczęście dziewczyny były tym razem wyrozumiałe i wypuściły ją jedynie po niecałych 30 minutach marudzenia i "oh my god, Alice ale ty jesteś".

Rozejrzała się po wnętrzu zdezelowanego Suzuki City. Był prawie pusty o tej porze. *No tak* – pomyślała – *dla normalnych ludzi za późno, a na powrót z imprezy za wcześnie...*

Jedynym towarzyszem podróży był facet w średnim wieku. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem i wyglądał, jakby nie wiedział, dokąd właściwie jedzie. Rozbiegane spojrzenie skakało pomiędzy kierowcą, oknami mijającymi kolejne przystanki i siedzeniem Alice.

Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały.

Alice chciała się uśmiechnąć, ale brązowe oczy mężczyzny były puste. Jak zamrożone tafle jeziora w grudniu. Nie było w nich ani odrobiny światła. Alice poczuła dreszcz spływający wzdłuż pleców.

Odwróciła wzrok.

Nagle poczuła, że chciałaby już wysiąść. Nie patrzeć więcej w te oczy.

Następny przystanek. Mogłaby go wziąć i pójść przez park. Tak będzie nawet szybciej. Może Jason nie będzie jeszcze spał. Może będzie mogła mu wytłumaczyć, powiedzieć, dlaczego nagle miała tyle oczekiwań, że zaczynał się *nowy rozdział*.

Alice wstała i podeszła do drzwi. Nacisnęła przycisk na żądanie. Lavender Park. Wysiadła pospiesznym krokiem i niemal truchtem ruszyła w stronę zacienionych alejek prowadzących do ulicy, na której mieszkała.

Nie oglądała się za siebie, więc nie mogła dostrzec, że mężczyzna o pustym spojrzeniu również podniósł się z miejsca. Naciągnął na głowę kaptur i wysiadł, odpychając łokciem piszczące sygnałem zamykania drzwi.

Ruszyła w stronę parku.

On podążył jej śladem.

*

Jason wydeptał już niemal całkiem widoczną ścieżkę w salonowym dywanie. Kot przyglądał mu się z leniwą niechęcią, ziewając szeroko.

Było piętnaście po trzeciej. Późno.

Nie martwił się, te babskie wypady kończyły się czasem o świcie, a czasem śniadaniem w kafejce w centrum miasta.

Jednak na dźwięk stukania do drzwi, jego serce zawtórowało tym samym rytmem szybkich uderzeń. Pobiegł otworzyć.

– Alice!

Wszystkie wymówki, argumenty i cięte riposty, które planował, zmiękły na jej widok. Wydawała się nieco blada, nieco młodsza? A jednak zmęczona.

– Alice... – Po prostu ją przytulił.

Siedli oboje na kanapie.

Nie zważając na godzinę, i na to, że jutro on musiał być w pracy, rozmawiali. Tak szczerze. Ona się uśmiechała, mówiła, że chciała dla nich dobrze, że chciała, żeby był zdrowy i silny, bo wtedy będą mogli jak najdłużej być razem. Chciała, żeby o siebie zadbał, bo życie miało im jeszcze wiele do zaoferowania.

On przeproszał, słuchał i się zgadzał.

Tylko tyle. I aż tyle.

W końcu Alice zasnęła na kanapie, jej piękne blond włosy rozsypały się kaskadą po poduszce, a urocze, już nie smutne oczy, mrugnęły do niego wesoło, zanim zapadła w sen. On siedział obok, wciąż trzymając jej rękę.

W ciszy zauważył, że telewizor nadal chodził, bo on wciąż nie znalazł pilota. Nie słyszał go wcześniej, bo pochłonęła go rozmowa z Alice.

Na kanale czwartym właśnie nadano wiadomości specjalne z ostatniej chwili. Policja prosi o pomoc. W Lavender Park znaleziono ciało kobiety. Trzydzieści pięć lat, blondynka. Ze wstępnych ustaleń wynika, że była w pierwszym trymestrze ciąży.

Jason poczuł, że nie oddycha. Całe powietrze uciekło z jego płuc, zostawiając lodowatą próżnię. Spojrzał na kanapę.

Piękne blond włosy, sukienka w kwiaty... Ale zaraz, czy nie miała na sobie tej niebieskiej, z Wenecji? I dlaczego ma na sobie te sandały, które zgubiła w zeszłym roku na wycieczce w Anglii?

Jason wydał z siebie dźwięk.

Nie krzyk.

Nie pisk.

Nie szloch.

Coś innego. Coś głębszego.

– Kochanie? O co chodzi? – zielone, zaspane oczy Alice wpatrywały się w niego spokojnie.

Telewizor dalej huczał, a okularnik z wiadomości specjalnych podawał właśnie rysopis ofiary i podejrzanego. Niebieska sukienka, facet w czarnej bluzie.

Jason spojrzął na dłoń, którą wciąż trzymał.

Poczuł, że ręka Alice była bardzo zimna.

Nago przez pokrzywy

Luiza Maszewska

I wtedy rozpętało się PRAWDZIWE piekło,

A ja zdążyłam jeszcze tylko pomyśleć: Jeśli nie umieram to co mi jest???

Dookoła kilkanaście osób przy stole. Jeszcze tylko jedna z nich, mój bezpośredni przedmówca i potem kolej na mnie. Problem w tym, że na razie moja twarz stanęła w ogniu. Zaraz po tym, jak przez moje ręce, tułów i szyję przetoczyły się gorące obręcze piekącego czegoś. Gdyby nie to, że ewidentnie dookoła mnie nadal roztaczała swe wątpliwe uroki brzydka jak noc sala konferencyjna, myślałabym, że śnię. Śnię i brnę przez gęste, wysokie pokrzywowe zarośla. Co tam brnę, ja się w nich tarzam, nacieram, nurkuję. Trwa to chwilę zaledwie. Zostaje jeszcze tylko rumieniec, który nadal czuję, a który może być na spokojnie brany za ekscytację i lekkie nerwy przed publicznym wystąpieniem.

Zanim mój kolega kończy ostatnie zdanie wszystko wraca do normy, a ja zaaferowana tym co mam zaraz powiedzieć spycham to nagłe i nieoczekiwane coś na dalszy plan.

Nie na długo.

Następny raz dopada mnie w sekretariacie biura. Ja w swetrze, bo casual Friday. Dookoła same zadbane kobiety, znacznie albo trochę młodsze ode mnie.

Zaczyna się podobnie. Gorące pokrzywy pędzą mi po ciele podchodzą do gardła i osiadają na policzkach i skroniach. Stoję tam spokojnie ale mam nieodpartą ochotę zrzucić z siebie ten sweter i co? No zostać w samym staniku. Oczywiście. Więc nie robię tego, tylko stoję sobie i dmucham na własne czoło.

Gdzieś chyba wtedy dociera do mnie.

Więc to tak wyglądają uderzenia gorąca.

Mój własny organizm kąpie mnie tak na chwilę, na moment w piekącym wrzątku, a potem stwierdza – dobra starczy Ci – i porzuca oszołomioną, jak gdyby nigdy nic.

Dziewczyny z biura to jednak inna kategoria. To już nie są niekumaci faceci przy konferencyjnym stole. Zauważyły gwałtowny występ purpury na moim licu i zezują. I udają, że nic nie widzą. O nie, nie, tak to nie gramy, przynajmniej nie ze mną.

Chyba jakoś wtedy sama mi się podjęła ta decyzja i powiedziałam głośno:

– Zajebie mnie ta menopauza. Zwariuję zaraz, przecież tu nawet nie jest gorąco, prawda?

Wyraz na twarzach otaczających mnie kobiet i wtedy i zawsze w takich momentach jest bezcenny.

No bo tak. Mamy XXI wiek i to nawet nie jego początek, a temat jest nadal delikatnie mówiąc niewygodny. Tamtego dnia, kiedy postanowiłam zrobić biurowy menopauzalny coming out, czułam się niemal tak jakbym w towarzystwie puściła bąka. Mieszanina zakłopotania i braku pomysłu co z TAKIM tematem zrobić w przestrzeni biurowej i jak go zamieść pod dywan, skoro na nieszczęście stąpamy po wykładzinie przytwierdzonej na stałe. No i się nie da.

Od tamtej pory robię to może nie stale, ale z lubością. Traktuję to trochę jak swoją misję normalizowania tematu i odczarowania tego etapu życia. Nie da się przecież będąc kobietą nie przejść menopauzy. Dlaczego wciąż jeszcze kobiety mają problem, żeby o niej rozmawiać?

I żeby nie było, dotyczy to nie tylko tych młodszych, które odpychają os siebie ten temat niczym Scarlett O'Hara. Nie, temat peszy również te kobiety, które właśnie przez tę burzę przechodzą. Powoduje często zniesienie głosu do szeptu i rozglądanie się na boki. Żeby nie wiem ktoś nie usłyszał? A już na pewno nie facet?

Ja uporczywie płonę otwarcie i bezwstydnie i nie zamierzam być tym zakłopotana, nawet przez chwilę, wystarczy, że samo w sobie jest to mocno uciążliwe i wkurwiające.

Przypomniała mi się gdzieś po drodze osvajania z tym uroczym zjawiskiem moja ukochana wychowawczyni z podstawówki. Któregoś dnia, siedząc w fotelu i pijąc herbatę nagle zaczęła ocierać z czoła wielkie krople potu. Pojawiły się znikąd.

Były fascynujące. Towarzyszyło temu zjawisku jej wielkie zakłopotanie. Do tej pory to pamiętam, pomyślałam sobie wtedy, że może jest chora, skoro jej tak gorąco. Oraz, że tak, że jest bardzo stara, więc nic dziwnego. Ja w klasie pewnie jakoś trzeciej i ona pewnie koło pięćdziesiątki.

Gdyby dzisiejsza ja miała szansę spotkać ją wtedy w latach 80-tych, natychmiast powiedziałabym jej, że wiem co czuje, że też tak mam i że jak mawia jedna z moich kochanych, zaprzyjaźnionych wieźm, natura to sobie wymyśliła fhooj słabo.

Uśmiech na super klej

Luiza Maszewska

– Wszystkiego czego sobie dla siebie wymarzyliście, wspólnie, naprawdę – Renata ścisnęła Olę w objęciach odrobinę zbyt długo i odrobinę zbyt mocno, jak na przedkościotową okoliczność, w tłumie napierających zastępem cioć, wujków i innej maści kuzynów, z których każdy chciał wycałować soczyście pannę młodą.

Poczuła intensywny zapach bergamotkowych perfum, tych co zawsze. Tam pod spodem to nadal była ta sama Ola. Co z tego? Radość przyjaciółki, jej tryskająca energią twarz, rozanielone spojrzenie, którym raz po raz obdarzała Pawła, było wręcz mdlące. Renata wmawiała sobie uparcie, że nie było.

– *Ciesz się* – syczała sobie do środka, wydawała rozkazy niesubordynowanemu wnętrzu.

Tyle, że tak jak faktycznie próbowała się cieszyć jeszcze miesiąc, dwa tygodnie, a nawet tydzień temu, tak dzisiaj już zupełnie nie mogła. Czuła jak mięśnie zaciskają jej szczękę w uśmiechu, przyklejonym na super klej. Nagle poczuła jak ten klej ją ciągnie i jak boli.

Patrzyła na Pawła i na Rafała, jej Rafała, jak poklepują się po plecach, jak padają typowe męskie szorstko – czułe zestawy:

“No stary, teraz to masz już przerąbane”,

“Miałeś szansę jeszcze pół godziny temu, a tak to wpakowałeś się nie ma odwrotu ha, ha, ha”.

Rubaszny śmiech, znów poklepywania. Tymczasem przeszli dalej, popchnięci przez weselny ogonek życzących jak najlepiej. Uśmiech Rafała zgasł. Zatrzymał na niej wzrok, badawczy, zdało jej się nagle. A może nie? Może to przewrażliwienie? Sprawdziła i uff, tak, nadal się uśmiecha, nic nie wypłynęło na zewnątrz. Jej popłoch i rozedrganie są tam, ale upchnięte na dnie, nic nie widać przecież.

Ktoś zawołał, machnął do nich ręką. Szybko wtopili się w kółko znajomych. Tam znów żarciki, śmiechy:

“Jak pięknie wyglądają młodzi razem, prawda?”

“A widziałyście tę matronę, tam po prawej? Ciekawe kto to?”

“Ooo, a ta dopiero ubrana ekscentrycznie”

“No a te kuzynki, to pewnie te z Podlasia. Moda deczko przedpotopowa, hi, hi”.

– *Wredna korpo-warszawka* – stwierdziła do środka, autokrytycznie, bo stała tam przecież i śmiała się, a raczej szczyrzyła nienaturalnie.

Znów złapała na sobie wzrok Rafała. Pomiędzy żarcikami, które sypały się w męskim kółku raz i drugi zdążył spojrzeć na nią. Smutnymi oczami, a może jej się tylko wydawało. Na moment uciekła wzrokiem. Niepotrzebnie. Przestaje się kontrolować, a obiecała to sobie, szczególnie dzisiaj. Co się z nią dzieło?

Nic. I przez to NIC chciało jej się wyć. Krzyczeć. Dookoła nachalnie kwitły bzy, zieleń tłoczyła się soczyscie i zdawała się świętować razem z Olą i Pawłem. Pawłem. Dlaczego z nim? Czemu on się przytrafił akurat właśnie Oli? Czemu ich ze sobą zapoznała? Tyle razy się zastanawiała jak by to było cofnąć czas. NIGDY, przenigdy nie poszłaby na tamto piwo. Racja, spotkała wtedy przecież Rafała. No ale nie poszłaby mimo wszystko. Nawet gdyby to miała być cena za to, żeby Ola z Pawłem nie zaistnieli jako jedność.

Potem długo miała nadzieję, że to nie przetrwa. Że przecież teraz ciągle wchodzi się w związki i się z nich wychodzi. Ciągle się kogoś poznaje, z kimś rozstaje. A Oni trwali. Weszła więc w ten układ z Rafałem. Chciała mieć więcej okazji do spotkań, nie stracić kontaktu, nie zostać na bocznym torze. Okazało się, że łatwiej było się umawiać, widywać, kiedy to były dwie pary, a nie ona sama, na doczepkę. No to zaistniały dwie pary.

Rafał był bezpiecznym wyborem, komfortowym. Przywykła. Doceniała nawet. Z tym, że przez cały ten czas, gdyby tylko ktoś zapytał kogo wybiera, nie wahałaby się ani przez chwilę. Dobrze o tym wiedziała. W całym tym szaleństwie wierzyła, że uda jej się to stłamsić resztką sił, schować głęboko i nigdy nie wypuścić, teraz już tym bardziej nie...

Dobrze, że było tu aż tylu znajomych. Dobrze, że Ola wybrała na świadkową swoją siostrę, chociaż Renata pamiętała jak mocno odrzucona się czuła w momencie, w którym się o tym dowiedziała. A teraz? Cieszyła się, może to i złe słowo na opisanie jej stanu ale tak, była zadowolona, że nie musi być ciągle tak blisko Oli i Pawła. Wmieszana w tłumek bliższych i dalszych znajomych miała nadzieję na złapanie chociaż odrobiny dystansu. Na przetrwanie jakoś tego wieczoru, do którego przecież miało nie dojść.

Tymczasem wieczór, którego nie chciała sobie nawet wyobrazić trwał właśnie w najlepsze, a jej jakby ktoś odłączył zasilanie. Baterii starczało tylko na ten dumny uśmiech, skleiony z nią tak, że bolało od tego całe ciało.

Rafal prawie się nie odzywał, a ona prawie nie zwracała już na to uwagi. Pograżona w siebie nie zauważyła nawet, kiedy po jakimś czasie wyprowadził ją na zewnątrz, do ogrodu. Szli teraz alejką, bez słowa. Było duszno, gęsto i przerażająco cicho. Po jakimś czasie Rafal się zatrzymał, wziął ją delikatnie za rękę. Nagle dotarło do niej, że coś jest mocno nie tak. Popłoch w niej zatrzepotał, na chwilę. Wtedy usłyszała:

– To się nie uda Renata. Ja już dłużej nie dam rady.

Podniosła na niego nie do końca rozumiejący wzrok. Nie zmuszał jej jednak do tego, żeby zaczęła cokolwiek tłumaczyć i sam dodał cicho:

– Borze, ile ja bym dał, żebyś chociaż raz spojrzęła na mnie tak jak na nią...

Kruszynka

Agnieszka Malec

Robiło się naprawdę późno. W. powinna była jeszcze tyle zrobić dzisiejszego dnia, że właściwie nie miała szans wyrobić się przed północą. W zasadzie najlepiej by było w ogóle nie kłaść się spać, może wtedy byłaby jakaś nadzieja. Tylko że to nie wchodziło w grę, już nie w tym wieku. Zarywanie nocy zawsze kończyło się źle na dłuższą metę.

Trzeba ustalić plan minimum. Po dwudziestu minutach zastanawiania się nad tym, czym się zająć, w których trakcie oczywiście nie robiła nic innego, doszła do wniosku, że plan minimum zakłada wyjście z psem i nastawienie prania. Każda kolejna rzecz, którą uda się zrobić to będzie miły bonus. Od razu humor jej się poprawił – no bo teraz to już nie musi się nigdzie spieszyć.

Zapakowała zachwyconego psa w smycz, a siebie w zimową kurtkę i wyszła z domu, męcząc się po drodze z zacinającym się zamkiem. W planie był długi, spokojny spacer – psu się na pewno spodoba, a jej dobrze zrobi na nerwy. Tyle że już na pierwszym zakręcie trafia na sąsiadkę spod czwórki razem z jej małym puchatym pieskiem. Oba psy się znały i reagowały na siebie umiarkowanie entuzjastycznie, chociaż wielkiej zabawy z tego nigdy nie było, może dlatego, że mały puchaty piesek sąsiadki był stary i już zupełnie ślepy.

– Dobry wieczór – powiedziała grzecznie W., licząc na to, że uniknie dalszej konwersacji.

Dla niej spacer z psem to była rzadka chwila relaksu, potrzebowała tylko, żeby nikt do niej nic nie mówił (nawet dla pewności w ramach odstraszenia gaduł nosiła słuchawki) oraz, żeby nikt nie miał żadnych problemów, którymi musiałaby się natychmiast zająć. Pies W. by psem wiecznie zadowolonym z siebie, który sam sobie szukał zajęcia i każdy spacer mu się podobał. W stosunku do dzieci, klientów i ludzi, z którymi W. miała kontakt w ciągu dnia, zawsze była to miła odmiana.

– Dobry wieczór – zaskakująco energicznie odpowiedziała sąsiadka. A wie pani, że to dla nas ostatni spacer??

– Dlaczego ostatni?? – W. wpadła prosto w pułapkę konwersacyjną sąsiadki – przeprowadzacie się??

– No ja nie, ale biedna Kruszyńska tak. Właśnie kończymy nasz ostatni wspólny spacer, pani piesek to pewnie ostatni znajomy piesek Kruszyńskiej, z którym może się pożegnać, już więcej się nie spotkają...

W. zaczęło coś ścisnąć w klatce. Zamrugła szybko, myśląc nad odpowiedzią i jakoś tak się jej oczy same zaczęły mokre robić. Sąsiadka obserwowała uważnie reakcję, którą wywołała. Biedna Kruszyńska obgryzała jakiś patyk, a pies W. położył się na trawie, w ogóle niczym się nie przejmując. W końcu sąsiadka cmoknęła z niezadowolaniem i niepytana kontynuowała opowieść:

– Bo wie pani, my z mężem coraz słabsi, u mnie te nogi, mąż po zawale, teraz jeszcze doszła cukrzyca. No nie damy rady już więcej się Kruszyńską zajmować. Musimy – tu sąsiadka głęboko westchnęła, odkładając smycz na pobliski murek – musimy ją niestety oddać – wycodziła powoli, patrząc melancholijnie w przestrzeń.

– Oddać komu?? – zapytała W., wolno rejestrując, że właśnie chyba wpada w kolejną pułapkę.

– No najlepiej komuś, kto Kruszyńską zna prawda? Kto ma takie serce do psów. I mieszka blisko, żebyśmy się mogli ciągle widywać... To chyba dobry pomysł, prawda??

– Brzmi jak dobry...

– Tak pani uważa? To super! To ja podrzucę miskę jakoś jutro rano i smaczki i jej ulubiony kocyk. Dobranoc! – sąsiadka odwróciła się zaskakująco szybko, jak na kogoś, kto ma problemy ze zdrowiem i puściła się niemalże biegiem w stronę klatki.

W. stała jak wryta. Na trawie obok dwa zadowolone psy obgryzały leniwie ten sam patyk.

Resztę wieczoru W. i jej mąż spędzili waląc na zmianę w drzwi sąsiadów spod czwórki, ale nikt nie otwierał. Odpowiadała im tylko cisza i zgaszone światła w oknach. Albo poprzedni właściciele Kruszyńskiej teleportowali się gdzie indziej

w ciągu pół godziny od porzucenia własnego psa, albo oboje właśnie padli trupem, albo nie zamierzali nikogo wpuszczać.

Około godziny dwudziestej drugiej W. ostatecznie skapitulowała i postanowiła wznowić atak od rana – przecież w końcu kiedyś będą musieli wyjść z domu. Na noc najwyraźniej Kruszyńka musiała zostać razem z nimi, obojętnie czy to się jej podobało, czy nie.

W. była ciągle w szoku. Trudno powiedzieć czy bardziej zaskakiwało ją, że można tak po prostu własnego starego psa porzucić, czy to, że to właśnie ona została wybrana na nowego właściciela. Czy w ogóle została wybrana? Czy gdyby inny sąsiad się trafił, to ktoś inny siedziałby teraz z Kruszyńką?

– Raczej nie – stwierdził przytomnie mąż W. – ktoś inny pewnie by się nie zgodził.

– Znaczy co, ja się niby zgodziłam??

– Noooo, nie protestowałaś nie? Poza tym wszyscy wiedzą, że nasz pies jest ze schroniska... Kot się też wcześniej nie miał gdzie podziać. I jeszcze teraz robisz ten wolontariat...

– Znaczy mam na czole napisane, że daję się wykorzystywać?!

– Znaczy widać po Tobie, że jesteś wrażliwym człowiekiem, tylko tyle.

W. zgrzytnęła zębami. Chciało jej się płakać. Może i mąż ma trochę racji, bo faktycznie za każdym razem jak widywała tego pieska na spacerach to robiło jej się go szkoda, ale bez przesady!

Kruszyńka z kolei w ogóle nie zachowywała się jak kruszyńka. Teraz chrapała w przedpokoju. Najwyraźniej energia jej się skończyła po tym, jak obwąchała każdy kąt, naszczekała na kota oraz dzieci, a na sam koniec zwymiotowała na nowe buty.

Tego już było za dużo. W. zalewała falami zimna furia. A ponieważ jej taktyka na radzenie sobie z silnymi emocjami polegała na tym, że trzeba się poruszać (pamiętając przy tym, że nie nadaje się do więzienia i trzeba robić wszystko, żeby tam nie trafić), wyszła z domu na szybkie zakupy. Po żarcie dla psa. Dla psów znaczy się, cholera.

Sąsiadów spod czwórki dalej nigdzie nie było widać, chociaż teraz to akurat dla nich lepiej. W. kupiła żarcie, zrobiła kółko wokół bloku i nawet kilka skłonów

i przysiadów, ale dalej jej nie przeszło. Sprawdziła skrzynkę na listy i przeszła do tablicy ogłoszeń, gotowa przeczytać jeszcze raz wszystkie numery alarmowe, żeby tylko opóźnić powrót do domu. Tym razem było jednak coś nowego. Zawiadomienie o braku wody w dniu następnym. Od siódmej do siedemnastej. Plus odręcznie napisana kartka przez sąsiadów z góry, informująca, że od jutra będą wyburzać ściany i przepraszają za hałasy. "Przeprosiny to w tej sytuacji zdecydowanie za mało" – mruzczała pod nosem W. – "Co to w ogóle za blok dziwny, tu mieszkają sami psychopaci..."

– Musimy się wyprowadzić!! – drzwi otwierane z rozmachem, mało nie wypadły z zawiasów.

– Ale że teraz? – głos męża wydawał się dosyć stłumiony.

– No nie musi być teraz, ale koniecznie musimy się wyprowadzić! Ludzie tu są dziwni i... co ty w ogóle robisz??

– Szukam mojego PIT-a

– Pod łóżkiem??

– Tak, wszędzie już szukałem. Położyłem go na stole po południu, żeby się tym zająć wieczorem, a potem ty przyszłaś i było zamieszanie, a teraz go nigdzie nie ma.

– Pomóc ci szukać?

– Pewnie dobrze by było – mąż też już zaczynał tracić cierpliwość. Nie tak wyobrażał sobie wieczór, chociaż uczciwie mówiąc po tylu latach życia z W. wiedział, że ma – zdecydowanie za małą wyobraźnię, żeby wszystko przewidzieć.

– Patrzyłeś za szafą?

– Nie patrzyłem za szafą. Dlaczego PIT miałby trafić za szafę?

– Nie wiem, ale Kruszynka coś wcześniej stamtąd wyciągała, nie? Czym ona właściwie wymiotowała?

Zapadła cisza. Kruszynka przekręciła się właśnie na plecki i spała spokojnie, łapkami do góry. W. pomyślała, że nie nadaje się do więzienia.

Olbrzymka

Aga Ładocha

Tekst zainspirowany obrazem Leonory Carrington pt. "Olbrzymka (Strażniczka jaja)".

Poniedziałek nadszedł niespodziewanie. Objawił się w natarczym brzęczeniu budzika. Przycisk drzemki magicznie zniknął, jakby wszechświat próbował zmusić ją do wstania od razu. Jakby nie miała możliwości późniejszego startu.

Sen, z którego próbowała się wyswobodzić nie był przyjemniejszy niż rzeczywistość, która upominała się o uwagę. Miała wrażenie, że w nocy jej umysł nie zwolnił nawet na sekundę i wciąż obracał wspomnienie sobotniego spotkania z Magdaleną. Ta jedna rozmowa wyrwała się w jej pamięci pogrubioną czcionką. Nawet gdyby próbowała nie mogłaby jej zapomnieć.

Kama i Teofil stanowili ogromne wsparcie. Ich kilkukilogramowe ciała obciążały kołdrę po obu stronach Nikoli. W takim układzie nie mogła ani wstać, ani nawet przewrócić się na drugi bok. Wyciągnęła dłoń i pogładziła miękkie futerko zwierzaka po prawej stronie. Zgadywała, że głaskała kotkę. Kama najchętniej wybierała właśnie tę stronę łóżka. Ale mogła się mylić. Weekend mocno namieszał w jej uporządkowanym świecie. Spodziewała się więc, że nawet jej podopieczni mogli zmienić upodobania, bo czemu by nie. Co stało na przeszkodzie? Adoptiaków nie wiązała żadna umowa, która wskazywałaby miejsca, w których mogą przebywać.

Z ust wyrwało jej się westchnięcie podsumowujące absurdalne myśli, które wylewały się z głowy. Dlaczego opowieść Magdaleny aż tak nią wstrząsnęła? To była zaledwie legenda.

A może uwierało ją to ziarenko prawdy, które w tym przypadku, o ile postanowi uwierzyć słowom staruszki, wykiełkowało w drzewo. Może bała się, że jeśli uwierzy w magiczną moc drzewa, to będzie żałować, że nie znała jej wcześniej. Że w najtrudniejszych momentach życia nie mogła skorzystać z jego pomocy. Że nie

mogła odmienić bolesnej przeszłości, która mimo lat pracy nie przestaje wpływać na jej obecne życie.

Ciemne myśli ostatecznie ją obudziły. Dawala się im pochłonać. Przyklejały się do ciała jak mgła unosząca się nad bagniskiem. Lepka wilgoć całowała jej odsłonięte ręce i twarz. Próbując strząsnąć z siebie nieprzyjemne wrażenie poruszyła się zbyt gwałtownie i przegoniła swoich towarzyszy. Słyszała tylko pazurki stukające o panele. Wysunęła się spod kołdry i zadrżała. Przytknęła dłoń do kaloryfera, który nie wydawał się ani trochę zimniejszy niż wczorajszego wieczoru. Stłumiła ochotę ponownego wślizgnięcia się do łózka i ruszyła w kierunku kuchni. Jak słusznie podejrzewała kocie rodzeństwo oczekiwało jej nadejścia w pobliżu lodówki. Wpatrywały się w nią szeroko otwartymi oczami, w których niema prośba mieszała się z nutą nagany. Jakby chciały powiedzieć: "Pospiesz się kobieto". Nikola nasypała jedzenie do kocich misek i zajęła się przygotowaniami do pracy.

Wróciła do sypialni i ze środkowej półki zdjęła dzień wcześniej przygotowane ubrania. Ciemne spodnie z wiskozy i niebieski wełniany sweter z długim rękawem. Dół stylizacji nie leżał tak jak zwykle, a wełna podgryzała nagie ramiona i ręce. Nikola czuła się, jakby wcisnęła się w zbyt małe ubrania. Jakby przez ten weekend znacznie urosła i przestała pasować do wcześniejszego życia. Metka z majtek boleśnie wbijała się w plecy, a fiszbin stanika usiłował przebić pachę. Nic nie było na swoim miejscu.

Zrzuciła z siebie niewygodne ubrania i przejrzała szafę w poszukiwaniu czegoś, co nie będzie chciało jej wykończyć. Postawiła na jasnozieloną swetrową sukienkę, do której dobrała cienkie, czarne rajstopy. Nadal nie czuła się w pełni sobą, ale wydawało jej się, że w tym wytrzyma osiem godzin pracy.

Po umyciu zębów i wypiciu kubka miętowej herbaty pożegnała się z kotami i ruszyła w kierunku biura. Mimo że wstała kilkanaście minut później na trasie znalazła się dużo wcześniej niż zwykle. Mijała dziesięciopiętrowe bloki w różnych odcieniach beżu i różu wolniejszym niż zwykle krokiem. Tego dnia nie spieszyła się do parku. Bała się tego, co w nim zastanie. Nie potrafiła przewidzieć swojej reakcji na dąb. Miała wrażenie, że wraz z Magdaleną omówiły intymne szczegóły życia drzewa za jego plecami. Bała się, że będzie to wyglądać jak spotkanie z kimś, komu

w przeszłości przez przypadek otworzyliśmy drzwi w łazience. Albo kiedy musimy spojrzeć w twarz rodzicom po tym, jak w nocy słyszeliśmy dowody ich miłości.

Ale osiedlowa droga zaskakująco szybko połączyła się z tą parkową. Nim się obejrzała ciężkie glany zapadały się w warstwę błota, w którą przemieniła się dróżka po nocnych opadach. Nikola słyszała jak serce obija się o żebra. Płynąca krew dudniła jej w uszach. Zapomniała słuchawek, które mogłyby zniwelować ten szum. Jej kolejne kroki dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów. Gdyby nie wyglądała głupio stawiałaby tip-topy jak w dzieciństwie, kiedy tą niezawodną jednostką mierzyło się odległości, żeby wyznaczyć linię zza, której rzucało się różnymi przedmiotami.

Ustyszała go, zanim jej oczy dosięgnęły rozłożystej korony. Wiatr prześlizgiwał się przez załążki liści i poruszał gałęziami. Dwumetrowe pęknięcie w pniu przyciągało jej wzrok. Miała ochotę przyłożyć do niego ucho i wsłuchać się w rytm bicia serca drzewa. Choć znajdowała się kilka kroków od niego czuła pod palcami szorstkość kory. Słyszała kraczące gawrony przesiadujące na najwyższych gałęziach. Dookoła unosił się zapach rozkładu. To liście z poprzedniej jesieni przechodziły ostatnie stadia rozkładu i wnikały w glebę, żeby zasilić rozwijające się wiosną rośliny.

Im dłuższej Nikola wpatrywała się w dąb, tym mniejszy jej się wydawał. Kurczył się jej w oczach niemal do rozmiaru jajka. Budził w niej czułość i troskę. Miała ochotę zamknąć je pod płaszczem i przyłożyć do piersi. Chciałaby je chronić przed okrucieństwem świata. Choć przez większość życia czuła się mała i nieważna w tamtym momencie była olbrzymia. Miała moc wiedzy i niezagospodarowane pokłady miłości. W tamtym momencie dotarło do niej, że mogłaby uwierzyć w opowieść Magdaleny.

Zmiana warty

Ewa Podgórna Kopciuch

– To już ostatni dzień. Od jutra będę wolna. Tak marzyłam, by tego dożyć.

Hanna siedziała na wąskim łóżku i rytmicznie kołysała się w przód i tył. Patrząc na nią trudno było orzec ile ma lat. Posiwiata, tłuste włosy, zmarszczki na twarzy, ciemne i nieruchome oczy. Wargi z opuszczonymi kącikami, które zapomniały co to uśmiech, parę blizn – na brodzie, pod okiem. Pomarszczone i spracowane dłonie. Wyglądała na 60 lub więcej lat. A przecież miała dopiero 45. Ale od 20 lat żyła jak zwierzę, była wśród zwierząt i walczyła by przetrwać.

20 lat temu trafiła do więzienia o zaostrzonym rygorze dla kobiet. Bo zabiła. Coraz rzadziej wracała do tamtych chwil. Kiedyś każdej nocy śnili się jej on i ona. Jej mąż i jego kochanka.

I nóż w jej dłoni i morze krwi. Nie uwierzyli jej, że zabiła w afekcie. I, że wcale nie chciała zabić także tej kobiety. Przecież tylko ją zraniła. Nie pamiętała już szczegółów. To była noc, jej nagły powrót do domu. Podejrzewała coś od jakiegoś czasu, ale nie miała dowodów na zdradę męża. Byli dopiero dwa lata po ślubie. Wtedy wyglądała inaczej. Blondynka o zgrabnej figurze, elegancko ubrana, buty na obcasie, zawsze z klasą. Inni faceci się za nią oglądali. A on znalazł sobie jakąś małolatę. Ile ona miała lat? 19? Nie wiedziała jak nóż znalazł się w jej dłoni. Jak stała nad nimi jak jakaś Nemezis. Pamięta swoje słowa:

– Jak śmiesz pieprzyć się w moim łóżku?

A potem tylko ruch ręką i krwawa mgła otoczyła całą głowę. Ponoć dźgnęła go 20 razy. Tego nie pamiętała. A dziewczyna sama jej weszła pod rękę jak próbowała uciekać. W końcu dostała tylko raz w ramię i udało jej się z wrzaskiem wybiec na zewnątrz. Gdy przyjechała policja, Hanna siedziała przy łóżku i tępo patrzyła na swoje ręce i ściekającą z nich krew. Nie odezwała się słowem do nikogo, aż do dnia procesu. Biegli psychiatrzy tłumaczyli to stresem, szokiem, a ona po prostu nie

chciała mówić. Odezwała się na procesie, opowiedziała co się stało. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego to zrobiła. Bo kochała? Może. Bo była zazdrosna? Na pewno. Wyroku wysłuchała ze spuszczoną głową. Ciekawe, że zawsze miała tylu przyjaciół i znajomych, a teraz nikt się za nią nie wstawił. Wszyscy o niej zapomnieli.

I tak trafiła na 20 lat do piekła. Szybko dowiedziała się co może się wydarzyć, gdy nie słucha się starszych stażem. Wielokrotnie bita, gwałcona, starała się tylko przeżyć. Z czasem było łatwiej, pięta się górę w więziennej hierarchii. Teraz była jedną z najdłuższym stażem, miała sporo przywilejów. A jutro wreszcie wychodziła na zewnątrz. Starła się do tej pory nie myśleć jak to będzie. Póki co, miała dokąd iść, jej matka ciągle na nią czekała. Ale jak ułożyć sobie życie – nie wiedziała. Teraz była nikim, a nie kobietą na kierowniczym stanowisku w korporacji.

Ostatniej nocy nie mogła zasnąć. Bała się nadchodzącego dnia. Rano jak zwykle pobudka, mycie, śniadanie. Zwolnienia miały być po południu. Tymczasem na oddział przyprowadzono nowe osadzone. Hanna układała swoje ostatnie rzeczy. Podniosła głowę i zobaczyła kobietę prowadzoną przez strażniczkę. Jej twarz wydała się jej znajoma. Wyglądała na jakieś 40 lat, czyli mogła ją znać jeszcze przed odsiadką? Dziwne. Zajął się swoją robotą. Ale nie dawało jej to spokoju. Wyszła z celi i poszła poszukać nowej. Znalazła ją parę cel dalej. Siedziała na pryczy ze spuszczoną głową. Hanna weszła do niej i badawczo zaczęła się jej przyglądać. Ta podniosła głowę i spojrzała na nią hardo.

– Czego się gapisz?

– Uważaj, za takie słowa na początku odsiadki można oberwać.

– Wszystko mi jedno. I tak tu zdechnę.

– Ile masz?

– 25

Hanna podniosła brwi w zdumieniu.

– Kogo zaciukałaś?

– A co cię to obchodzi?

– Nic. Ale i tak musisz się wypowiadać. Lepiej po dobroci, nie będzie bolało.

– Zabiłam gacha.

Hanna intensywnie przyglądała się kobiecie. I nagle zobaczyła ją – tamta noc, uciekająca dziewczyna.

– To ty!

– Kto?

– Masz bliznę na lewym ramieniu od noża?

– Mam. Skąd wiesz?

– Bo ja ci ją zrobiłam.

Nowa znieruchomiła. Patrzyła na Hannę szeroko otwartymi oczyma. Hanna usiadła przy niej na pryczy.

– No zobacz jak to historia się toczy. Co się z tobą działo przez te 20 lat.

Ta przetknęła głośno ślinę i nagle po jej twarzy zaczęły spływać łzy.

– 20 lat temu myślałam, że to co mogło mnie spotkać najgorszego jest już za mną. Jak poznałam twojego męża byłam głupią gęsią, która myślała, że chwyciła Pana Boga za nogi. On nawet się nie zająknął, że jest żonaty. Potem była ta noc. Wylądowałam w szpitalu. Po twoim wyroku wróciłam do domu na wieś. Rodzice mnie wyklęli, a potem wydali za miejscowego pijaka, żebyśmy więcej wstydu nie przynosiła. I tak żyłam, zaczęłam pić razem z mężem. Potem on umarł, a ja piłam dalej z przygodnymi facetami. Ciągle jakiś inny był przy mnie. Lata mijały. Dużo wytrzymywałam, ale ten ostatni był najgorszy. Bił, gwałcił. Ale kiedy przyprowadził kumpli, żeby też mogli sobie poużywać, nie zdzierzyłam. Byłam po paru kieliszkach, ale jeszcze miałam siłę złapać za tasak kuchenny i temu mojemu wbić go w głowę. I wtedy poczułam ulgę. Wreszcie koniec, mogę iść do więzienia, bo gorzej niż w tym życiu to już mi nie będzie.

Spojrzała smutno na Hannę.

– Pomogę ci przed wyjściem. Może jestem ci to winna. Może gdybym nie zabiła tego skurwiela twoje życie potoczyłoby się inaczej. Poznam cię ze wszystkimi dziewczynami, opowiem o tobie. Będziesz tu mogła zapomnieć o piekle na zewnątrz.

Hanna tak zrobiła. Gdy po południu, prowadzona przez strażniczkę, maszerowała do wyjścia, odwróciła się jeszcze i długo patrzyła w oczy nowej. Pokiwała jej głową. Tamta leciutko się uśmiechnęła.

– No tak, zmiana warty– pomyślała Hanna i ruszyła przed siebie.

Prima Aprilis

Olga Stiefel

1 kwietnia...

– Skarbie, muszę ci coś powiedzieć – Zosia Kowalska uśmiechnęła się do swojego ukochanego, który właśnie wiostował łyżką w wielkim talerzu pomidorówki.

– Co tam, Zosieńko? – Zenon uśmiechnął się do niej nieuważnie, bo głowę zaprzętały mu zupełnie inne kwestie. Po całym dniu roboty marzył tylko o tym, żeby zjeść, zdjąć z niej ten idiotyczny fartuszek i sobie ulżyć w najprzyjemniejszy sposób. Już sama perspektywa tego, co go za chwilę czeka, powodowała szybkie pęcznienie w okolicach rozporka. Zośka go pociągała jak jasna cholera. W sumie to i jej gotowość do spełniania wszystkich (i to dosłownie wszystkich) jego życzeń coraz bardziej przemawiały za tym, żeby w końcu się do niego przeprowadziła. Wtedy miałby żarcie i ruchanko cały czas, od ręki. I nie musiałby tracić czasu na dojazdy do Lipna.

Zatopiony w swoich rozważaniach, krasnolud nie zauważył, że partnerka uważnie mu się przygląda.

– Ziemia do Zenia – pogłaskała go lekko po szczeciniastych włosach – ja naprawdę muszę ci coś powiedzieć.

– Tak, tak, a o co chodzi? – Zenon pakował do ust kolejną łyżkę zupy z makaronem, rozważając przy tym coraz bardziej intensywnie, czy aby nie zrobić sobie przerwy w posiłku. Przecież kuchennego stołu jeszcze w taki sposób nie wykorzystywał.

– Zeniu, bo ja jestem w ciąży – wypaliła nagle Zośka z rozanieloną miną, układając przy tym dłonie na swoim płaskim jeszcze brzuchu.

– Że, kurwa, co? – prychnął Zenon, ochlapując wszystko dookoła siebie pomidorowymi kropkami i nitkami makaronu. W jednej sekundzie jego rozkoszne myśli się rozwiały, a spodnie w kroku zrobiły się luźne.

– Co ty, kurwa, jesteś? – poderwał się z krzesła i wbił wściekłe spojrzenie w stojącą przed nim krasnoludkę. – Przecież się zabezpieczaliśmy, więc to niemożliwe! Pewnie się z kimś puściłaś, jak dziwka! Czyj to bachor?! Ze mnie nie zrobisz ojca dla tego bękarta! – wrzeszczał coraz głośniejsze.

– To jest dziecko pierwszego kwietnia. Prima aprilis! – wypaliła w jego stronę. Nie była w stanie dodać nic więcej. Jego reakcja całkowicie ją zszokowała. Może nie liczyła na wybuch entuzjazmu, raczej na lekką panikę. Ale taka wściekłość?

Zenek wpatrywał się w Zosię z osłupieniem. Kompletnie zapomniał, co dzisiaj za dzień. No i dał ciała. Musi ją jakoś przeprosić, bo inaczej będzie się musiał na zawsze pożegnać z tym jakże dobrym źródłem jedzenia i bzykania.

– Zosieńko, przepraszam – wyciągnął rękę w jej stronę, ale się odsunęła, więc kontynuował – bo kompletnie mnie zaskoczyłaś. Zrozum, kochanie, ja tu w głowie ważne plany dla nas snułem, a ty mnie tak z rytmu wybiłaś...

– Niech ci będzie, Zenek. Głupio wyszło – Zośka złapała pierwszą z brzegu ścierkę i zaczęła sprzątać rozchlapaną przez niego zupę.

– Wszystko dobrze? – położył rękę na jej dłoni. Był postępek, tym razem się nie odsunęła. – Przepraszam cię jeszcze raz, moje ty słoneczko. Przecież jak się w końcu zdecydujemy, to zmaistrujemy razem małego krasnoludka. A może się od razu za trening zabierzemy? – stanął za jej plecami i przyciągnął do siebie, czując znowu narastające pulsowanie w kroczu.

Zośka gwałtownie biła się z myślami, co teraz zrobić. Po tej scenie kompletnie nie miała ochoty na seks. W sumie zazwyczaj nie miała. Udawała tylko ze względu na Zenka. Bo przecież mężczyzna, nawet rozmiaru krasnoluda, ma swoje potrzeby. Jednocześnie musiała na spokojnie pomyśleć o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Przy tym bała się, że jak mu odmówi, to on odejdzie i już nie wróci. Bo co taka wiejska dziewczyna, jak ona, miała mu – poza wieczną gotowością do seksu – do zaoferowania? Na razie pozostawała bierna, licząc, że rozwiązanie się pojawi.

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe. Zenek odskoczył gwałtownie i zajął miejsce przy swoim talerzu. Zośka w duchu odetchnęła z ulgą, gdy do kuchni wszedł Tadeusz, jej starszy brat.

Po kolacji Zenek szybko się zebrał do powrotu do miasta, tłumacząc się obszernie, że wcześniej rano wyjeżdża w dłuższą delegację. Że go trochę nie będzie i nie będzie z nim kontaktu, ale że przyjedzie do niej, jak tylko wróci. Krasnoludka z jednej strony przyjęła to z ulgą, bo zyskała czas na przemyślenie całej sprawy. Z drugiej strony jednak ze smutkiem, bo będzie za nim tęsknić.

21 kwietnia

Zenek nie odzywał się od trzech tygodni, ale może to i lepiej. Okazało się, że czas nie przyniósł nie rozwiązania, a raczej dalsze dylematy, pomyślała Zosia, wpatrując się w trzymany w trzęsących się dłoniach test ciążowy z dwoma wyraźnymi różowymi kreskami...

Na ławce

Kasia Klein

– Ale ładnie tutaj, babciu, wyszłaś! Prawdziwa hottówa! – Zawołałam i znów wyzwałam się w myślach od idiotek. Czy naprawdę za każdym razem będę popełniać jedną i tę samą gafę? Co jest ze mną nie tak, że nie potrafię przyjąć i zakodować, że z każdym dniem babci wzrok słabnie?

– A co oglądasz, Luniu? – zapytała, jak gdyby nigdy nic, bo mimo postępującej zaćmy, była bardziej spostrzegawcza ode mnie. Miała w sobie też o wiele więcej wyczucia i empatii, bo dostrzegła (sic!) moje zmieszanie i to, że jest mi zwyczajnie głupio.

– Tu jest takie czarno białe zdjęcie. Trzy kobiety siedzą na ławce, z talerzami na kolanach. Dwie palą papierosy, a z tyłu stoisz ty, z kubkiem w dłoni, i jako jedyna patrzysz w stronę fotografa. I masz taką fajną fryzurę! Nie wiedziałam, że miałaś ciemne włosy.

– Ach tak! – Zaśmiała się babcia. – Taki mój mały eksperyment. Nie poszedł zbyt dobrze.

– Świetnie ci w nim było! A w ogóle skąd to zdjęcie? Wygląda jak z przyjęcia.

– To była taka pracownicza impreza. Raz w roku, w ostatni tydzień czerwca organizowaliśmy sobie takie małe pikniki. Czasami w pracowni, czasami w parku albo nad Odrą. Różnie. Raz mieliśmy nawet ognisko z kiełbaskami na wyspie Opatowickiej.

– O, ale fajnie!

– Czasami fajnie, a czasami niefajnie. Tu akurat bawiliśmy się na wewnętrznym dziedzińcu. Zdjęcie robił dziadek, a na ławce, o ile dobrze pamiętam, siedziała Helena, Magda i Joanna.

– Wygląda na bardzo obrażoną. Patrzy w przeciwnym kierunku niż te dwie pozostałe.

– A tak, tak, rzeczywiście, coś tam było. Pokłóciła się z kimś chyba.

– Naprawdę, bardzo fajne zdjęcie. Ma taki wakacyjny, vintage klimat. I ty tam taka wychillowana i uśmiechnięta.

Babcia odleciała gdzieś w swoje wspomnienia, więc nie mówiłam nic więcej, tylko dalej przeglądałam jej album.

*

Felicja przewróciła kartkę albumu, Zyta zatopiła się w myślach.

A zdjęcia to czasami potrafią tak ładnie kłamać. – Pomyślała.

Nie powie Luni, że ten uśmiech wymierzony prosto w Stanisława, jest podszyty małą zemstą *(to nic, że za kilka tygodni Stanisław zetrze jej ten uśmiech z twarzy w najbardziej perfidny sposób, wbijając nóż jeszcze głębiej w jej plecy i przekręcając go kilkukrotnie).*

Nie powie Luni, że ona też trzyma w dłoni papierosa, ale chowa go za siebie, aby nie dostrzegł go Stanisław *(tak głupio przed sobą samą się przyznać, że po każdej chwili małego buntu, wycofywała się zawstydzona).* I że ten wzrok prosto w obiektyw ma w sobie niepewność, czy on wie o papierosie? *(Oczywiście, że wiedział. Był podły, ale nie głupi).*

Nie powie Luni, że ten ciemny kolor włosów i to fatalne cięcie, to pomysł Stanisława *(na pewno chciał ją oszpecić, a ona wtedy jeszcze mu wierzyła).* I nie powie, ile wysiłku kosztowało, by pozbyć się tej czerni. I z włosów i z życia.

Nie powie Luni, że chwilę przed zrobieniem tego zdjęcia, to z nią pokłóciła się Joanna. O projekt i o Stanisława.

Tej soboty świętowali udany kwartał. Wygrali niemal każdy konkurs do jakiego przystąpili. Ich nazwiska będą na zawsze wpisane w historię tego miasta, które z taką pasją próbują odbudować. No właśnie. Nazwiska. O te nazwiska poszło.

Wszyscy bawili się na dziedzińcu i tylko Joanna i Zyta zostały w pracowni. Joanna dokrajała końcówkę ciasta, a Zyta po raz ostatni sprawdzała projekt, który mieli jeszcze zgłosić na kolejny konkurs. Gdy już miała złożyć wszystkie szkice, zauważyła, że cztery punktowce, nad którymi siedziała tak długo, zniknęły z projektu.

– Joanna – zawołała koleżankę – czy możesz podejść do mnie na chwilę?

– No? – Joanna podeszła zlizując krem z kciuka. – Co tam?

– Tu brakuje chyba jednej kartki.

– Pokaż... a nie, tak ma być. Stanisław zdecydował.

– Co zdecydował?

– Że rezygnujemy z punktowców.

– Dlaczego?

– Bo układ psują.

– Przecież wiesz, że nie psują. Wręcz przeciwnie, bo to jest układ rozproszony. Przewietrzenie i nasłonecznienie, że już o rytmie urbanistycznym nie wspomnę. Aśka, przecież ty powinnaś to wiedzieć, czemu tego nie obroniłaś?

– Mówiłam – Joanna wzruszyła ramionami – Stanisław zdecydował.

– W moim projekcie zdecydował?

– No wiesz – Joanna uśmiechnęła się w ten specyficzny sposób, który był jak brakujące kreski w projekcie. Obrys bryły się domknął. Zyta nie miała wątpliwości z kim Stanisław spędzał ostatnio wieczory. – Tu jest jego nazwisko. Twoja jest tylko sygnatura.

– Myślałam, że rozumu to masz jednak trochę więcej, bo z klasą, to nigdy ci nie było po drodze. Joanna stała nieruchomo i tylko jej długie rzęsy z grudkami od maskary trzepotały góra dół, góra dół, aż w końcu odwróciła się na pięcie, wzięła talerz z ciastem i z hukiem trzasnęła drzwiami, wychodząc z pracowni.

Złość w Zycie rosla. Za te okropne ciemne włosy, na które dała się namówić, które ją tylko przygasiły. Za to, że Stanisław zmienił ich projekt, który rysowała przecież sama i za to, że Joanna nawet nie próbowała zaprzeczyć, bronić się jakoś.

Podeszła do swojego biurka. Wyciągnęła z szuflady wszystkie szkice, wszystkie koncepcje na kolejne osiedle. Wszystkie te, które Stanisław odrzucił, bo brak mu było wizji, odwagi, polotu i przestrzeni w głowie. Złożyła je wszystkie w teczkę, wsunęła do koperty, na której napisała adres i nadawcę – własne imię i nazwisko. Tylko jej imię i nazwisko. Będzie miał Stanisław za swoje. Niech wysyła na konkurs projekt bez duszy, suche szkielety pustych domów. Ona zgłosi swój własny projekt. Projekt, w którym jest życie, czułość i wspólnota. I te cholerne punktowce.

Zostawiła zaadresowaną kopertę na stole i zeszła na dziedziniec.

Zabawa trwała w najlepsze, kilka osób tańczyło do "Stayin' Alive" Bee Gees. Ktoś podał jej kubek z Sowietskoje Igristoje, od kogoś wzięła papierosa. A potem stanęła za dziewczynami siedzącymi na ławce i gdy Stanisław robił im zdjęcie, skrzywiony, bo zobaczył ją z papierosem, uniosła lekko kubek i pomyślała:

Twoje zdrowie, Stasiu.

Ale tego Luni też nie powie.

Nie powie, bo ten toast odbijał się jej wielką czkawką jeszcze przez kilka lat.

Tekst powstał do zdjęcia Evelyn Hofer Exuding confidence... Secretaries in Rawlings Park, Washington, 1965 i jest częścią powieści, nad którą pracuję.

Nieudany powrót

Dominika Pietruszka

Wyszłam z domu przekonana, że tym razem dam radę. Spakowałam odwagę do plecaka obok zeszytów do matematyki i historii. Czułam, że wreszcie jestem gotowa stawić czoła swoim lękom. W końcu co najgorszego może się zdarzyć? Powtarzałam to jak mantrę, w głowie przywołując wszystkie omawiane w gabinecie terapeutycznym argumenty. Najważniejsze to się nie zatrzymywać. Dopóki będę szła przed siebie, nic złego się nie wydarzy.

Dlatego wychodzę na klatkę schodową, nawet nie patrząc na mamę, bojąc się, że w jej oczach zobaczę odbicie swojego strachu. Drzwi trzaskają głośno, a ja pokonuję pierwsze stopnie. Kiedy wreszcie znajduję się na świeżym powietrzu, biorę głęboki wdech. Tak dawno nie byłam na zewnątrz. Czuję nadchodzącą wiosnę, ten charakterystyczny zapach nadziei, lekkości i nowych wyzwań.

Przedemną właśnie czekało to największe. Szkoła była oddalona zaledwie o dziesięć minut, a dla mnie była to jak wyprawa w głąb dzikiej puszczy. Nie myśleć. Nie analizować. Prosto przed siebie i nie pozwalać sobie na ani chwilę zwątpienia.

Kątem oka dostrzegam kolegę, którego nie widziałam od wielu miesięcy. Kiedyś byliśmy bardzo zżyci; spędzaliśmy wiele wieczorów w pobliskim parku, huśtając się na huśtawkach i rozmawiając o wszystkim i o niczym. Teraz, po tym, co się wydarzyło, był tylko jednym ze smutnych wspomnień z mojego poprzedniego życia. Nieśmiało podnosi rękę i próbuje mnie zaczepić, ale ja nie mogę się rozpraszać.

Dlatego szybko przebiegam na drugą stronę, przeskakuję kilka schodków prowadzących między bloki i po chwili już go nie widzę. Czuję, jak przyśpiesza mi oddech. To niespodziewane spotkanie wybija mnie z rytmu. Zakładam na głowę kaptur, starając się odciąć od otoczenia. Jedna trzecia drogi już za mną. Jestem coraz bliżej celu.

Kiedy zbliżam się do bazaru przy Hali Mirowskiej, zaczynam czuć przyspieszone bicie serca. Dookoła jest pełno ludzi. Przepychają się, przekrzykują, tworząc chaos i generując dźwięki, które powodują, że jestem gotowa zawrócić. Mijam stoisko z artykułami dla zwierząt, warzywniak i ladę z wędlinami wszelkiego rodzaju.

Widzę już bramę prowadzącą do parku, kiedy zderzam się z człowiekiem pchającym przed sobą wózek wypełniony różnego rodzaju śmieciami. Odwracam się, a wtedy wpadam na starszą kobietę, która usilnie próbuje zdecydować, który pomidor jest bardziej czerwony. Przyspieszam kroku. Mój wzrok staje się rozbiegany.

Jestem już kilka metrów od wyjścia, ale to właśnie ten moment, kiedy już wiem, że znowu przegrałam. Wpadam do parku, z trudem łapiąc oddech i gorączkowo rozglądam się dookoła. Wyciągam przed siebie rękę, żeby sprawdzić, czy nie rozmazuje mi się przed oczami. Widzę dobrze, a więc jeszcze nie tracę przytomności.

Teraz muszę tylko dostać się do domu. Jak najszybciej, zanim resztki trzymany pod kontrolą nerwów nie zerwą się z łańcucha. Wiem jednak, że nie mogę wrócić tą samą drogą. Nie dam rady ponownie przebić się przez to miejsce, pełne gwaru i ludzi. Dlatego wybieram trasę naokoło, ale mniej uczęszczaną. Tym razem prawie już biegnę. Znowu uciekam.

Kiedy docieram do placu przy dawnej podstawówce, trochę się uspokajam, ale nie pozwalam sobie na choćby chwilę bez ruchu. Dopóki idę, nic mi nie grozi. Nie da się zemdleć, będąc w ruchu – powtarzam sobie w głowie słowa psychologa.

A jednak w końcu przystaję. Oglądam się za siebie, nie do końca rozumiejąc, jak się tu znalazłam. Byłam już w połowie drogi. Stoję niezdecydowana, rozważając wszystkie za i przeciw. Wrócić – do bezpiecznego domu, zamknąć się w pokoju i przełknąć zawód w oczach rodziców, czy może spróbować jeszcze raz, skoro byłam już tak blisko.

Decyduję się na to drugie, chociaż atak paniki wciąż trzyma mnie za gardło, a nogi trzęsą mi się jak galareta. Ale wiem, że obiecałam. Tam, w szpitalu, powiedziałam im, że wrócę, że wszystko się ułoży. Staram się wzbudzić w sobie

złość. Na życie, na moje szwankujące zdrowie i na służbę zdrowia, która nigdy nie potrafiła mi pomóc.

Zawracam. Wychodzę z parku i mijam kolejne bloki. Od miejsca docelowego dzielą mnie zaledwie dwa skrzyżowania. Zaczynam czuć euforię, że w końcu mi się uda.

I wtedy zatrzymuję się na świetłach. Czekam z niecierpliwością na czerwone, przestępując z nogi na nogę i znów czuję, jak mój wzrok błądzi po przypadkowych przechodniach. Wyobrażam sobie, że to staje się właśnie tu, na środku ulicy. Budzę się na ziemi, otoczona ludźmi, kolegami z klasy, którzy nie widzieli mnie od roku, a spotkali mnie w takim stanie. Ktoś wzywa karetkę, ktoś mówi, by zrobić więcej miejsca. A ja marzę tylko o tym, żeby to wszystko się skończyło.

Czyjś plecak uderza mnie w bark i wyrывa z odrętwienia. Wciąż stoję przed pasami, a zielone światło zaczęło już migać i z powrotem zmieniło się na czerwone.

Niewiele myśląc, zawracam. Tracę kontrolę. Biegnę. Uciekam. Przed sobą, przed szkołą, przed wszystkim tym, czego nie rozumiem. Nie zatrzymuję się, dopóki nie znajduję się pod blokiem.

Dopiero wtedy przysiadam na murku i czuję, jak po policzkach lecą mi łzy. Łzy porażki, zawodu i wstydu. Wiem, że nieprędko spróbuję znowu. Patrzę na zegarek. Całość trwała zaledwie 13 minut. Tylko 13 minut spędziłam na zewnątrz, próbując przekonać siebie i resztę świata, że jestem gotowa wrócić. Nie byłam.

Zmiana

Agata Schubert

Rajmund chciał tylko, żeby ten dzień wreszcie się skończył. Do końca zmiany zostało ostatnie pół godziny. Trzydzieści minut, by upozorować względną normalność, przekazać oddział i wyjść o czasie. Albo zamknąć się w dyżurce i przeczekać. Nie chciał słyszeć, że na SOR właśnie wjechała karetka na sygnale – miał nadzieję, że ratownicy przesadzili z ostrożnością, ewentualnie, że to przypadek kardiologiczny albo jakikolwiek, który łapałby się na inny oddział niż jego. W ostateczności – że zanim zrobią komplet koniecznych badań, jego już tu nie będzie. A jeśli wymagałby konsultacji to powinna wystarczyć rezydentka. Na szczęście Kamila była całkiem pojętna, a przede wszystkim chciała się wykazać. A do tego potrzeba ambicji, dokładności, odpowiedzialności i samodzielności. Oczywiście na tyle, na ile to możliwe w ściśle zhierarchizowanej szpitalnej strukturze, ale tym razem Rajmund w razie potrzeby nie zamierzał stać na straży zasad u Hipokratesa.

Ten dyżur go wykończył. Anastazja, głośna osiemdziesięciolatka po amputacji stopy cukrzycowej na wysokości podudzia, która miała wreszcie zostać wypisana do domu, niefortunnie się przewróciła i musiała zostać na obserwacji. Zamiast ciszy i wolnego pokoju, mieli więc co chwilę okrzyki “pomocy” i ”boli” wymiennie z ”ja tu umieram” i ”lekarza, proszę wezwać prawdziwego lekarza”. Prawdziwym lekarzem był oczywiście on i choć zazwyczaj uciszał Anastazję na dłużej jednym ze swoich czarujących uśmiechów, tym razem nie miał do niej cierpliwości. Do tego trafiła się pacjentka z ostrym zapaleniem trzustki, awanturująca się o inną diagnozę, bo przecież nie pije, nie pali, zdrowo się odżywia, a narkotyków nawet na oczy nie widziała, więc co dopiero mówić o zażywaniu. Rajmund najchętniej położyłby ją w jednym pokoju z koszykarzem cierpiącym na to samo, żeby podnieść jej poziom wiedzy o kamicy żółciowej i mutacje genów, ale niestety panujące na oddziale

zasady wykluczały koedukacyjne sale. Najgorszy z tego wszystkiego był jednak rotawirus, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd, zaatakował połowę pacjentów i wyglądało na to, że nie zamierzał na tym skończyć. A co robi rotawirus na oddziale chirurgii? Jednych uruchamia dużo za wcześnie, tak, że szwy zaczynają się im niebezpiecznie rozchodzić, co może skończyć się nie tylko kiepską blizną – tym Rajmund by się w ogóle nie przejmował – ale też zapaleniem, zakażeniem rany pooperacyjnej albo nawet koniecznością powtórnego zabiegu. Innych, tych trwale leżących natomiast uruchamia na tyle niefortunnie, że salowe cały dzień miały ręce pełne roboty, i to dosłownie. Przez to nie nadążały ze zmianami pościeli i teraz mocny mdły zapach środków odkażających mieszał się z charakterystyczną wonią wewnętrznego rozkładu. A to wszystko na jego dyżurze.

Honorata zaparkowała na parkingu wewnętrznym i niechętnie wysiadła z grafitowej skody. Od dawna miała wątpliwości, czy wybrała właściwy zawód. Słowa jej babci, że w rodzinie potrzebny jest ksiądz, prawnik i lekarz, nie zostawiały jej zbyt wiele możliwości. Po tym, co stało się z wujkiem Gienkiem, najmłodszym z czworga rodzeństwa jej matki, który zbuntował się i został policjantem, Honorata nie miała najmniejszych zamiarów podążania jego drogą. A wydawałoby się, że ten słodki osesek, pupilek babci, dla którego zawsze czekał odłożony kotlecik i najtłustsze kawałki wkładki w żurze, choćby reszta jej dzieci musiała zadowolić się suchymi kartoflami z maślanką, może dużo więcej niż inni. Może i pozwalano mu na wiele więcej, rozpieszczano jak nikogo innego w rodzinie, tłumaczono różne wybryki młodością i nieokiełznaniem, choć jego rodzeństwo za mniejsze wygłupy lądowało ze szlabanem i pasem odbitym na cienkiej skórze pleców i pośladków, ale tych przywilejów nie starczyło na swobodne dysponowanie swoim życiem zawodowym. Bo może policjant to też zawód publiczny, służba ludziom i tak dalej, ale nie jest godzien nawet stać przy prawnikach, księżach i lekarzach. A że dwóch starszych braci Gienka zostało odpowiednio sędzią i adwokatem, a siostra internistą, babci uwidziało się, że jej ukochanego Genia wyświęcą co najmniej na biskupa. A tu Guccio, nie ksiądz. Gienek był wyśmiewany przy wszystkich możliwych okazjach, świątecznych i zwyczajnych, a gdy przestał się stawiać na rodzinne uroczystości, szyderstwa i kpiny przybrały tylko na sile. Po każdym rodzinnym spotkaniu wszyscy

z babcią na czele wybierali się do Genia, by powtórzyć po raz kolejny – jemu, a w razie jego nieobecności sąsiadom – co o nim naprawdę myślą.

Honorata księdzem z oczywistych powodów zostać nie mogła, ale zmierzając różnym krokiem przez parking do szpitalnego wejścia, nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego wybrała ścieżkę matki zamiast pójść w ślady któregoś z wujów. Jako prawnik mogłaby prowadzić sprawę od początku do końca, a gdyby była sędzią, mogłaby zrzucić ją w dół, do ponownego rozpatrzenia, zawsze, gdy zauważyłaby jakiegoś babola. Babol przeoczony przez innych zawsze by do nich wrócił, nie musiałyby za niego odpowiadać jak w swojej pieprzonej pracy, której nie zносиła między innymi za to właśnie, że wciąż musiała coś po kimś poprawiać i nie wolno jej było głośno o tym mówić. Błędy lekarskie przecież nie istnieją, chyba że komuś ważnemu się jednak zemrze, bo jeśli to ktoś normalny czy nieistotny, rośnie prawdopodobieństwo, że nawet ewidentny babol zostanie zamieciony pod dywan.

Na dodatek przejmowała oddział po Rajmundzie, którego ego sięgało sufitu, a umiejętności szorowały po podłodze, co dawało niestety doskonałą pożywkę dla wszelkiej maści błędów – od tych najdrobniejszych i najbardziej oczywistych, przez proceduralne i dokumentacyjne, po te najgorsze, z których musieli tłumaczyć się przed przełożonymi.

Gdy drzwi windy się otworzyły i Honoratę omiół znajomy zapach chemicznej czystości połączony z czymś innym, słodkim i obrzydliwym, zrozumiała, że wkracza do chaosu. Rajmund natomiast, który właśnie wyszedł z dyżurki z naręczem nieuzupełnionych kart, które zamierzał przenieść do swojego ciemnego, zakurzonego gabinetu na końcu korytarza, gdy tylko zauważył marszczące się powoli czoło Honoraty, poczuł błogość. Jeszcze nie zdecydował, czy wróci do domu i położy się przy ciepłym i szczipłym ciele swojej drugiej, wciąż nowej żony, czy też po drodze zahaczy o kawalerski apartament swojego przyjaciela, w którym dziś wypadał wieczór pokera i cygar, a jeśli im będzie się chciało, to może i czegoś więcej. Którejkolwiek z opcji by nie wybrał, na pewno nie będzie tak przesrana jak ta, w którą właśnie wkraczała Honorata.

Klaunica

Katarzyna Frelik

Siedzę w samochodzie na miejscu pasażera i zastanawiam się: Jak znalazłam się w tym miejscu? Czy to efekt tego, że mama nie chciała mnie przebrać za księżniczkę na balu przebierańców w przedszkolu i pomimo moich łez i tupania nogami przebrała mnie za klauna? Czy ta jedna chwila tak na mnie wpłynęła, że zostałam klaunicą na wynajem?

Zaraz mój mąż wróci do samochodu i przyniesie mi zapasowy czerwony gąbkowy nos, bo ten, który miałam przed chwilą sama zdeptałam brudnym butem. Może to był znak? Może już nie powinnam być klaunicą. Z jednej strony nie jest tak źle, w końcu mogę w tej roli śpiewać, a przecież kocham śpiew. Po to zresztą mnie wynajmują – żebyś śmiała i śpiewała. Błazenada, w przenośni i dosłownie. A ludzie za to płacą. Dorośli ludzie płacą za to by przy drinku słuchać śpiewającego klauna. What the fuck?

Wyobrażam sobie jak psychoterapeuci wysyłają tam klientów by poradzić sobie z koulrofobią. Już widzę takiego terapeutę na czerwonym fotelu, który zsuwa lekko okulary i mówi: “Wiem, jak może Pan sobie poradzić ze strachem przed klaunami. Na Mazowieckiej jest taki klub, w którym w każdy czwartek o 20:00 śpiewa klaunica. Podobno dobrze śpiewa. Może uczestniczenie w takim wydarzeniu pomoże Panu przestać się bać klaunów?”. I przychodzi taki, z receptą od psychoterapeuty na mój występ. Czy bardziej się boi? Czy umiera ze śmiechu? Wyciskam z niego siódme poty przy mierzeniu się ze swoim lękiem czy może wywołuję konsternację? A może jest tam ktoś kto jest w stanie zobaczyć we mnie piękno? To, które kryje się w moim śpiewie, w harmonijnych dźwiękach, i nie zafalszowanej melodii.

Milknę, milknę nawet w swoich myślach. Zaraz wróci mój mąż i poda mi z serdecznym uśmiechem czerwoną gąbczastą kulkę. Na widok mojej skwaszonej

miny zapyta czy wszystko w porządku. Ja wysilę z siebie wyreżyserowany uśmiech i powiem: “Tak Kochanie, wszystko w porządku”. On uruchomi silnik i w wieczornych świetłach Warszawy ruszymy na Mazowiecką, jak zawsze w czwartek od ostatnich pięciu lat.

Mąż wraca, podaje mi czerwoną gąbkę, odpala silnik. Jest prawie tak jak lecącej w telewizji powtórce filmu. Ten sam samochód, te same postacie i powtarzalna smutna cisza, którą przerywa mój mąż: – Czy wszystko w porządku?

I nagle następuje zwrot akcji, którego nikt się nie spodziewał, a już na pewno nie ja.

– Nie, nie jest w porządku. – odpowiadam.

Mąż wybudzony z letargu pyta – Co się stało?

– Nic takiego – odpowiadam. – Nic takiego, tylko zawsze marzyłam, aby być śpiewaczką operową.

– Wiem Kochanie. Mam zgasić silnik i wracamy do domu? – pyta.

– Tak, wracamy do domu.

Ucieczka

Beata Banaszczyk

Uliczny gwar rozbrzmiewał w uszach 57-letniego Ricarda. Wyrzucił na wpół wypalonego peta do kałuży, która jeszcze nie wchłonęła się po ostatnich ulewach, splunął siarczyście i usiadł na fotelu kierowcy udekorowanym matą zrobioną w całości z drewnianych koralików. Sprawdził w swojej rybackiej kamizelce, czy paczka papierosów jest na swoim miejscu, poprawił kaszkiet i czekał.

Obok stał Zenek, ale Ricardo nie miał ochoty na rozmowy – po pierwsze stary pierdziel (ok. 60 lat), a po drugie wspiera partię prawicową, a tego Ricardo nie wybacał. Można kobietę poszarpać w domu, jak zupa była za słona, można nawet wsiąść do auta po małpce wypitej na kaca, można nawet za kolanko złapać co piękniejszą klientkę, ale tych szmat prawicowych popierać nie można. Są zasady. Oj, a Ricardo ma ich dużo.

Po pierwsze: tam, gdzie się pracuje, tam się chujem nie wojuje. Co prawda żadna fest kobitka nie pracowała w taxi, tam, gdzie on zazwyczaj stoi, ale zasada jest!

Po drugie: żadnych fast foodów w aucie! Nie będą mu gówniarze tapicerki brudzić. Co innego jakaś kanapka z kotлетem schabowym czy innym pasztetem. A te McDonaldy to sobie mogą w dupę wsadzić!

No i po trzecie: muzyka. Tylko disco polo! Nie pasuje – to wynocha. Na nogach sobie idź, koleżko złoty!

Te trzy zasady to filar prowadzonej działalności gospodarczej.

Ricardo, z domu Rysiek Nowak, dla sąsiadów Złotowa – ale tylko wtedy, kiedy nie ma go w pobliżu. Pracuje na własny rachunek! Nie zrzesza się z korporacjami, bo po co? Wiadomo, że nie będzie się dzielił utargiem. Najbardziej bał się, że kiedyś będzie musiał nakleić logo Ubera. Twierdzi, że jak do tego dojdzie, to rezygnuje. Koniec!

Ostatnio bardzo mu się nudzi na posterunku, jak nazywa swoje miejsce pracy, a jego misja nie przynosi mu radości. O Zenku nawet nie ma co gadać – tfu! A inni koledzy ciągle w rozjazdach. Eh, szkoda gadać – lecą na jakieś gównno japońskie (Toyota Prius czy inne), a nie na prawdziwą perłę!

Jego największą dumą jest bordowy Polonez Caro. Gdyby ludzie widzieli, jak teść płakał, gdy go sprzedawał, to od razu zapragnęliby tego experience'u. Niestety – jest jak jest.

Trzeba w życiu jakoś sobie radzić, szukać adrenaliny. To też niedawno Ricardo zaangażował się w zatrzymanie obywatelskie, ale akurat spudłował, bo zatrzymał kuriera, który po cywilnemu chciał dostarczyć paczkę w drodze powrotnej do domu, a nie żadnego terrorystę. Zraził się trochę, ale w sumie miał dobrą historię dla klientów. Opowiadał, jak to działa pod przykrywką w GROM-ie i wychwytuje zagrożenia, które mogą wpływać na bezpieczeństwo kraju.

Od tygodnia jest posucha. Parę starych bab do lekarza zawiózł i tyle.

Kiedy myślał, że nic już go dzisiaj nie zaskoczy, kątem oka zobaczył, jak młoda kobitka wychodzi z Polo Marketu. Jakaś taka zdenerwowana... Coś się będzie działo!

Już, już miał wziąć do ręki swoją mini lornetkę, żeby nic nie przegapić w akcji (ciekawe, skąd ją miał – pewnie z GROM-u), aż tu nagle drzwi do auta się otwierają, a kobitka wsiada do środka.

– Proszę jechać! Szybko! – wysapała zmęczona.

– Dzień dobry! A może by pani też się przywitała...

– Dobry! Proszę jechać do... – nie usłyszał końcówki jej wypowiedzi, bo zaczął czuć podekscytowanie. Coś jest na rzeczy! Pewnie muszą uciekać! Ach! Mam wspaniałą kryjówkę. Jeśli baba coś przeszkrobała, to wyciągnie z niej wszystko, będzie bohaterem, przyjedzie policja, wręczą mu medal za próbę udaremnienia ucieczki... Ale to będzie coś...

– Proszę pana, możemy już jechać?

– A dokąd chce pani uciec? – zmarszczył rubasznie nos. Widział, że ma jakieś siatki – pewnie złodziejka. Pod bluzkę arbuza włożyła i myśli, że Ricardo się nie zorientuje.

– Nie chcę uciekać! Chcę do szpitala! Rodzę...

Dwadzieścia minut później było po wszystkim. Nawet pieniędzy nie wziął za kurs, ale do wieczora wszyscy sąsiedzi oraz Zenek i inni koledzy z postaju wiedzieli, jak to baba mu w Polonezie urodziła. A Ricardo własnymi rękami poród odbierał, pępowinę przeciął nożyczkami do wąsów i został ojcem chrzestnym małego Ricarda Juniora!

Dowcipnisia

Wiesia Paszek

Wrzucam zdjęcie z USG i już mniej więcej wiem, jak się ta cała sprawa potoczy. To nic, że na zdjęciu jest mój pęcherzyk żółciowy i to zdrowy. Jest też część wątroby i trochę gazów jelitowych. Ja wiem, że rozpęta się burza mniej lub bardziej szczerych gratulacji pod moim postem. Posypią się życzenia szczęśliwego rozwiązania, pytania, czy już wiadomo, czy chłopiec, czy dziewczynka, popłyną historie własnych życiowych opowieści i doświadczeń i kto wie czego jeszcze. Ja oczywiście nie potwierdzę, ale też nie zaprzeczę. Bawić się będę wyśmienicie. Właściwie sumienie będę miała czyste, bo jest w końcu czego gratulować. Nie każdy może poszczycić się zdrowym pęcherzykiem żółciowym, a to przecież nie moja wina, że wszyscy pomyślą, że jestem w ciąży. Zamieszczam więc post bez komentarza. Po dokładnie dziesięciu sekundach słyszę powiadomienia. Nie mogę uwierzyć, że informacje i dezinformacje rozprzestrzeniają się aż tak szybko. Patrzą na kolejne pojawiające się lajki. Zegar polubień tyka. Pojawia się też gniewna buźka, ale po sekundzie znika. Widzę jak licznik łapek w górę i serduszek pnie się szybko wzwyż. Po pięciu minutach dzwoni mój telefon. Mama!!! Odbieram, ale nie daję rady powiedzieć nawet zwykłego słowa cześć.

– Kochanie, jak się cieszę, no nareszcie, że też tak długo z tatusiem musieliśmy na to czekać, no ale w końcu poszliście po rozum do głowy. Czas już na was był najwyższy! – Słyszę litanię słów, a po niej rozlega się szloch.

– Mamo? – Pytam. – Mamo! – Mówię już bardziej zdecydowanie.

– To ze szczęścia Agusiu. Ze szczęścia, że ci się tak układa.

– Mamo, ale ja nie jestem w ciąży, jeśli właśnie o tym pomyślałaś. – Po drugiej stronie zalega grobowa cisza. Czuję, jak ze słuchawki bucha w moją stronę lód, który kłuje prosto w serce.

– Ale, przecież pisałaś?! – Słyszę pytanie i wyrzut zarazem.

– Mamo, nic nie pisałam. Tam jest zdjęcie mojego pęcherzyka żółciowego, pustego, zdrowego, nawet złogów tam nie ma, a co dopiero dziecka. Nic nie napisałam. Przeczytaj mój post jeszcze raz. Uważnij!–Mówię już podirytowana, ale po drugiej stronie jest tylko cisza.

– Oddzwonię później Agnieszko. Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. – Słyszę lodowaty ton głosu mamy, a ta nie czekając na moją reakcję rozłącza się. Stoję tak przez chwilę, wgapiając się w telefon, który cały czas próbuje poinformować mnie o czymś nowym. Nie chce mi się sprawdzać tych powiadomień, bo cały czas słyszą głos matki. Ta ekscytacja, która momentalnie zmienia się w chłód. Nie wiem, jak możliwa jest tak gwałtowna huśtawka uczuć. A myślałam, że wyraziłam się jasno, tłumacząc jej, że nie planujemy ze Steinim dzieci. Nie czujemy potrzeby ich posiadania. Zresztą nie wiem, jakbym mogła pogodzić macierzyństwo ze swoją pracą, z ciągłymi kursami, z dyżurami. Jak Steini miałby połączyć tacierzyństwo z ciągłymi wyjazdami wulkanologicznymi. No nie ma takiej opcji! Zresztą w obecnych chwili walczę, żeby odnaleźć swoje własne życie w tym nowym świecie, a nie sprowadzać nowe do tego bałaganu, który mnie ostatnio zewsząd otacza. Myślę wkurzona, próbując bezsensownie znaleźć usprawiedliwienie dla swojej, naszej decyzji. Przez tyle czasu, najwidoczniej naiwnie, myślałam, że mama mnie rozumie, wspiera, a przynajmniej akceptuje moje decyzje. Teraz nawet nie jestem przekonana czy w ogóle zarejestrowała to, co do niej mówiłam kilka miesięcy temu. Przecież my jesteśmy ze Steinim razem tylko 8 miesięcy do jasnej cholery, próbuję dalej racjonalizować w myślach, ale telefon znowu się odzywa i tym razem widzę, że dostałam sms–a. Ania!

Dzwoniła do mnie mama, jest załamana, zadzwonię do ciebie później.

Czytam tych kilka wystukanych pewnie naprędce słów i nie wiem, jak zrozumieć informacje od starszej siostry. Siostry i córki idealnej. Mieszkającej w tym samym mieście, co rodzice. Siostry posiadającej dobrą pracę, ale co najważniejsze posiadającej męża i dwoje dzieci. Parkę oczywiście, żeby dopełnić obrazu ideału. Nie chce mi się z nią teraz zupełnie gadać, bo nie wiem, jak czytać jej słowa. Jako groźbę czy zapowiedź wsparcia.

Sprawdzam więc wpisy pod moim zdjęciem. Pod nim już widnieją kolejne zdjęcia dzieci koleżanek, zdjęcia płodów i następne gratulacje. Przewijam w dół i na końcu widzę zdjęcie z USG, na którym ewidentnie jest nerka prawa. Uśmiecham się do siebie i czuję niewielką ulgę, bo widzę, że chociaż ktoś załapał mój kwietniowy żart. No ale widzę, że to zdjęcie od Magdy, a ona jest radiolożką, więc zdziwiłabym się, gdyby ona też nie zorientowała się, co przedstawia mój skan. Wysyłam jej serduszko, zastanawiając się przez chwilę, jak zareagują inne, zignorowane przeze mnie znajome. Odkładam telefon na stół i idę zrobić sobie kawę, choć czuję, jakbym zdecydowanie potrzebowała czegoś mocniejszego. Ostatecznie mój wybór pada jednak na mocniejszą niż zwykle kawę i do tego kostkę gorzkiej czekolady, tej 90% z Wawelu, którą udało mi się upolować w polskim sklepie. Wkładam kostkę do buzi i przymykam oczy. Delektuję się gorzko słodkim smakiem pobudzającym moje kubki smakowe. Przez moment jestem w niebie. Staram się odsunąć od siebie wydarzenia sprzed chwili i nie myśleć o niczym innym jak tylko o czekoladzie. Jestem tu i teraz, choć odczucie to coś zaburza. Czuję, jakbym nie była w domu sama, choć powinnam. Oczy mam nadal zamknięte, ale mam wrażenie, słyszę, jakby ktoś przy mnie stał. Słyszę, jakby ktoś po cichu i bardzo ostrożnie skradał się, nie chcąc, żebym odkryła jego obecność. Moje serce bije coraz szybciej i z przerażeniem otwieram oczy, gotowa do ucieczki. Widzę jednak stojącego przede mną Steiniego. Chwilę zajmuje mi, żeby uświadomić sobie, co się dzieje. W międzyczasie podświadomie studiuję jego twarz. Maluje się na niej mieszanka zdenerwowania i czegoś jeszcze innego. Ekscytacji? Radości? Jego oczy błyszczą jakimś nieznanym mi wcześniej światłem. Jego policzki są zaróżowione, ale nie z zimna i nie od pośpiechu, choć na skroniach dostrzegam pojedynczą kropelkę potu. Próbuję poskładać swoje obserwacje w jedną, sensowną całość. Dopiero kiedy mój wzrok zjeżdża niżej, momentalnie rozumiem. Steini trzyma w rękach ogromny bukiet czerwonych róż, a ja wiem, że nie mamy w pobliżu żadnej kwaciarni. Ja wiem, że musiało mu bardzo zależeć, żeby zrobić mi tę niespodziankę. Ja wiem, że się bardzo postarał i właściwie, to powinien być teraz w pracy i jest tu dla mnie. Powinnam się cieszyć, ale właśnie robi mi się bardzo słabo.

Śmierć

Karolina Sawka

– Widziałam śmierć. – Powiedziała, wierząc się na zazwyczaj wygodnym fotelu. Dziś jednak trudno było jej się na nim ułożyć.

– Śmierć? – Zapytał pan Sebastian, unosząc brew.

Minęło kilka tygodni, odkąd wyznała mu, co czuje. Nie zakończyła terapii, tak jak początkowo chciała. Poszła za sugestią terapeuty i zaczęli o tym rozmawiać. Zrozumiała mechanizmy, które miały miejsce i choć nie było łatwo, cieszyła się na kontynuację tego procesu.

A teraz siedziała naprzeciwko niego i nie mogła się nadziwić, jak taki inteligentny typ jeszcze nie ogarnął, że mówi mu o tym, co jej się przyśniło.

– Tak, śmierć. – Cisza wypełniła mały gabinet. – Oj, no śniła mi się. Ale to było tak realne, jakbym widziała ją naprawdę.

Sebastian odnotował coś w swoim kajecie, wpatrując się w niego z uwagą.

– Może pani ją opisać?

Marlena westchnęła ciężko.

“Pewnie kolejne pytanie będzie dotyczyło uczuć” – pomyślała, po czym na głos powiedziała:

– Postaram się.

Zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie wspomniany wytwór niewątpliwie bujnej wyobraźni.

– To była kobieta – zaczęła, nie otwierając oczu – ale bardzo, bardzo wysoka. Miała gęste włosy, bardziej żółte niż blond... O! przypominały fryzurę Magdy Gessler.

– I właśnie do niej była podobna? – Przerwał jej psychoterapeuta.

– Nie, tylko te włosy. Była ubrana w jakąś czerwoną szatę, tak długą, że tylko stopy było jej widać, strasznie białe. Twarz też miała okropnie białą, jakby

przezroczystą. Na tej czerwonej sukience miała narzucone białe takie coś... Jak koc. Ja mam taki koc, cały biały i to właśnie tak wyglądało. Spod niego wystawały ręce, ale dziwne, małe, chude, jakoś wykręcone.

– Skąd pani wiedziała, że to śmierć, a nie zwykła kobieta?

Marlena otworzyła oczy i utkwiała wzrok w terapeutce.

– Bo pod stopami miała mnóstwo rzeczy: drzewa, zwierzęta, jakichś ludzi. Za plecami jakby ocean, ryby, statki. Ona, w porównaniu do tej całej reszty, była ogromna. Gigantyczna wręcz. Spod tego koca wyfruwały dziwne ptaki, a to wszystko... To wszystko wokół... Miałam wrażenie, czułam, że wszystko jest martwe.

– Czy ta postać, ta śmierć, miała z panią jakieś interakcje?

– Patrzyła się na mnie i...

Marlena zawahała się.

– I uśmiechała. Tak jakby cieszyła się, że przyszedłam, że ją widzę.

– A pani? Jakie pani towarzyszyły emocje?

“Ha, szach mat, Sebuś, niczym mnie już nie zaskoczysz”.

– A ja... Ja też się cieszyłam. Poczułam, że wreszcie wróciłam do domu.

Porządki

Martyna Głownia

Babcia Aniela lub po prostu Aniela stała przy kuchennym blacie. Na desce leżała marchewka, przygotowana do krojenia w słupki. Do rosółu. Tak lubiła. Nie ważne, że inni wkładali do gotowania marchew w całości. Ona lubiła w słupki. Koniec i kropka.

Dłoń zaciskała na rękojeści noża ale nie wykonywała żadnego ruchu. Zamarła wpatrując się w tę przeklętą beczkę na ogródku. Po kiego Baśka ją tam zostawiła. Nagle jak grom z jasnego nieba, jak wybuch, jak kometa, jak podpalony człowiek do kuchni wpadła Marcyska z telefonem w ręce i słuchawkami na uszach.

– “Zabrałeś z sobą tajemnice swe!!” – młoda zawyła. Tak, zawyła, bo czego jak czego ale talentu jej wnuczka nie miała za grosz. Znaczy talentu do śpiewania, bo do pakowania się w kłopoty to miała talent wybitny. Po matce.

– “Uciekać jest najłatwiej chociaż nie masz gdzie!” – wskoczyła na kuchenny narożnik i udawała, że telefon to jej mikrofon.

– Marcys! Bój, że Ty się dziecko Boga! W tych bucioracha!? Na czyste siedzenie? – Aniela zaczęła wymachiwać w stronę wnuczki nożem. – Uciekaj, że mi stąd! I to tak w trymiga najlepiej!

– Babciuuu! W szkole będzie konkurs karaoke! I właśnie ćwiczę swój repertuar!
– Drobna blondynka wywróciła oczami ściągając jedną słuchawkę z ucha.

– Uciekaj stad w tej chwili! – Babcia odłożyła nóż na blat i sięgnęła po białą ścierkę, którą pacnęła dziewczynę w pośladek. – Uciekaj mi stąd natychmiast! I Ty już lepiej nie śpiewaj i nie karz nikomu tego wysłuchiwać na jakiś konkursach! Przydaj się lepiej do czegoś i weźcie za sprzątanie! Ile już Was proszę żebyście zrobili porządek w ogrodzie?! Weź swojego brata i wysprzątajcie mi w końcu ten plac! I wywalcie te przeklętą beczkę! – wyciągnęła rękę w kierunku okna i wycelowała palcem w niebieską plamę na dworze. – Wasza matka jak zawsze coś

wymyśliła. Przywiozła, zostawiła i poszła w pizdu! Mam wrażenie, że urodziłam kukułkę! Śmieci, beczki i dzieci! Wszystko podrzuca! Żadnego z niej pożytku jak zawsze! A skoro Was zostawiła to się na coś chociaż przydajcie!

– Jezu babciu daj spokój... – Marcysińska zeskoczyła z narożnika – już się tak nie denerwuj, bo jeszcze Ci rozrusznik siądzie czy coś takiego. – Dziewczynka zaśmiała się głośno i szybko uciekła przed lecącą w jej stronę marchewką.

Rodzeństwo szło wzdłuż ścieżki do ogrodu. Michał złapał za drewniane drzwiczki i otworzył je jak gentelman przed siostrą.

– Przecież to nie nasza wina, że matka uciekła z nowym fagasem... – sapnęła blondynka zrywając płatki z opadającej w jej stronę rudbekii. – Nie musi się na nas za to wydzierać. – Michał kopnął kamyk, który stanął mu na drodze, wziął głęboki wdech i włożył ręce w kieszenie spodni.

– Noo nie nasza, ale jak byś sobie żyła spokojnie, nie miała obowiązków, rodzinę widywała od święta i nagle na głowę zważyło by Ci się dwoje dzieciaków, to też byś się wkurzyła co? – Wyciągnął rękę z kieszeni i poczochnął siostrę po głowie na co ta sypnęła mu płatkami kwiatu w twarz.

– Sam jesteś dzieciak! – pokazała bratu język po czym zmrużyła oczy. – Ffuuuuuuj, ale tu faktycznie śmierdzi od tej beczki...

– Może matka robiła jakieś kiszonki? Albo nawóz? To by pasowało, w końcu gównu zawsze śmierdzi. – Michał złapał za czarny dekiel i mocno go przekręcił. Zamknięcie wydało z siebie ciche syknięcie uwalniając zapach tak obrzydliwy, że Marcysia aż poczuła falę wymiocin rosnącą jej w gardle. Kaszląc krzyknęła do brata

– Co to za smród!? – zakryła sobie nos i usta łokciem, praktycznie chowając całą twarz w zagięciu ręki.

Chłopak również walczył z odruchem wymiotnym, ale nie chciał pokazać przed młodszą siostrą, że wymiękła. Obluzował wieko do końca i delikatnie je uniósł. Dobrych kilka sekund zajęło mu zrozumienie na co patrzy. Zatrzasnął pokrywę i szybko podbiegł do Marcysińskiej zastaniając sobą beczkę.

– Uciekaj stąd w tej chwili i zawołaj babcie! – Dziewczynka nie wiedziała co się dzieje. Jej brat nigdy tak nie wyglądał. Był blady, a oczy zachodziły mu łzami. Widziała, że jest przerażony.

– Cooo? Ale Michał co tam... – nie pozwolił jej dokończyć, pchnął ją mocno w stronę domu.

– Spierdalaj! Już! Zawołaj babcie! – Kiedy uznał, że siostra jest już wystarczająco daleko, podszedł znów do beczki i ją otworzył. Z wnętrza wypełnionego obrzydliwą, śmierdzącą breją spoglądało na niego małe, błękitne oko. Obok oka dryfowała mała główka. Główka z króciutkimi blond włoskami. I ręka, mała rączka po której pełzały białe tłuste larwy. Włożył do beczki patyk i zamieszał we wnętrzu. Teraz mierzył się wzrokiem z jeszcze jednym okiem, innym niż poprzednie. Niczego nie rozumiał, ale wiedział jedno, że to były dzieci. Te wszystkie oczy, rączki, główki należały do maleńkich, martwych dzieci.

Aniela wpatrywała się w wystającą ponad taflę maleńką główkę. Zaciśnęła dygoczące dłonie na rancie beczki. Poczwała jak obrzydliwa ciecz dotyka jej palców. Wydawało jej się, że wyzera jej opuszki. Z trudem łapała oddech. Już nie z powodu smrodu, ale ze strachu. Zamknęła oczy, policzyła do trzech i pchnęła beczkę do przodu. Brunatno-brązowa, gęsta breja zalała rabaty, a fala mdłości zalała Anielę. Oczy zasły jej łzami ze złości, strachu, smutku i bezsilności. Zawyla jak zarzynane zwierzę kiedy doliczyła do pięciu. Dokładnie pięć małych ciałek leżało przed nią na ziemi. Opadła na kolana i chociaż zakryła oczy dłońmi to i tak widziała obraz niemowlęcych ciałek, w różnym stanie rozkładu rozrzuconych u jej stóp. Nic nie rozumiała. Nie rozumiała dlaczego, nie rozumiała kiedy, jak i po co. Jak jej córka mogła zrobić coś tak potwornego. Baśka zawsze była problematyczna, zawsze miała z nią pod górę. Jej córka zawsze chodziła swoimi ścieżkami i była mądrzejsza od wszystkich. Ale to?! To przerosło wszelkie wyobrażenia Anieli o tym co jej córka mogłaby jeszcze głupiego w życiu zrobić.

Co teraz? Co dalej? Co z Michałem, Marcysią? Co... co z nimi? Znów podniosła oczy na drobne ciała. Sine, fioletowe, obleczone larwami rączki i nóżki. Przegniłe, martwe oczy które nie miały szansy nigdy zobaczyć błękitu nieba.

– Babciu... – usłyszała za sobą cichy głos. Głos, który jeszcze godzinę temu należał do chłopca, a teraz był już głosem młodego mężczyzny. – Marcyska niczego nie widziała, przyniosłem szpadel... Zakopimy je, żeby mama... Żebyś Ty nie miała

przez to problemów. – Babcia Aniela zaszlochła cicho, podniosła się z ziemi i mocno przytuliła wnuka.

– Boże.. dlaczego Ona to zrobiła. – trzęsącym się głosem wyrzuciła z siebie pytanie.

– Nie wiem.. – szepnął Michał gładząc babcię uspokajająco po plecach. – Ale ta decyzja wymagała od Niej wiele odwagi...

Maria

Karolina Kulikowska

Ucieszyłam się, że Marysia wpadła mnie odwiedzić, i to akurat w Dzień Kobiet. Już dawno się nie widziałyśmy, mogłyśmy zatem trochę poplotkować i pogdybać nad tym, ile się zmienił świat – a ile nie – między jej czasami a moimi. Tym razem Balbina nie mogła do nas dołączyć – jakieś demony czy inne wiedźmie sprawy – ale fajnie, że pozwala Mani czasem do nas zajrzeć.

Siedziałyśmy sobie tak, aż przyszedł wieczór, i gdy weszłam do salonu, niosąc świeżo zaparzoną kenijską herbatę, dostrzegłam jakieś błyski za oknem. Wpierw uznałam, że to może czyjeś reflektory albo ktoś, za pomocą latarki w telefonie, przynajmniej udaje, że sprząta po swoim czworonożnym przyjacielu. Ale mryganie trwało i trwało.

– Maryś, widzisz to, co ja? Te światełka mrygające za oknem? – zapytałam, stawiając na podkładce kubek z herbatą.

– Za moich czasów... – zaczęła jak zwykle, przynajmniej 56 razy podczas każdego naszego spotkania.

– Nie pytam o czasy, pytam o brak tych czasów, czyli terażniejszość. Spójrz no, o tam. – wskazałam palcem za okno, słysząc w głowie dobrze mi znany głos mojej babci “Nie pokazuj palcem!”.

“Atomowa Mary”, z niezadowoleniem malującym się na jej twarzy, spojrzała w danym kierunku.

– Rzeczywiście, coś mryga. I wiesz co? To chyba alfabet Morse’a!

– Alfabet Morse’a? Tu? W Warszawie? Co za wariaci...

– Znam alfabet Morse’a. Za moich czasów wszyscy mądrzy ludzie go znali... – rzuciła szybko kierowniczym tonem Maria. – Weź kartkę i coś do pisania, rozszyfrujemy to.

Po chwili odczytałam na głos, co następuje:

– “Gumowe rękawice”. O co może... – nie skończyłam, bo zobaczyłam jak twarz mojej przyjaciółki tężeje i zastyga w wyrazie absolutnej paniki. – Hej, co się dzieje?

– Ja... ja nie znoszę tego... obrzydlistwa! – wykrztusiła z siebie.

– Masz fobię dotyczącą gumowych rękawic? – zapytałam i zaczęłam się zastanawiać, jaką nazwę własną mogłoby mieć to konkretne zjawisko. Jest globofobia, czyli lęk przed balonami, ale rękawicami? Postanowiłam potem to sprawdzić.

– Ja? Fobię? – zachnęła się – Po prostu... ich nie lubię. Ale ważniejsze pytanie: czemu ktoś przesyła taką wiadomość? To okrutne!

– Hmm... okrutne, jeśli ktoś a) wie, że masz taką fobię, i b) wie, że tu jesteś, we własnej osobie. Tylko kto mógłby to być?

– Balbina! – krzyknęła, podnosząc się z fotela, słynna fizyczka. – To musi być ona, no bo kto inny?!

W sumie to brzmiało logicznie. Nie zdążyłam nic więcej powiedzieć, bo Marysia już wściekłym krokiem pędziła ku drzwiom wyjściowym, a ja mogłabym przysiąc, że cała aż lekko promieniała od złości. Tak wiecie, dosłownie. Ale pewnie mi się przywidziało.

Ruszyłam za nią i po chwili skradałyśmy się do krzaków i drzew, zza których ktoś musiał nadawać komunikat. Na migi porozumiałyśmy się, jak zająć Balbinę, aby nie uciekła, i gdy Marysia już była na swoim miejscu, wyskoczyłam zza drzewa i krzyknęłam:

– Mamy Cię! – ale dziewczę, które przeraźliwie wrzasnęło upuszczając przy tym telefon, nie było Balbiną.

– O rany... ale mnie wystraszyłaś! – rzekła, łapiąc się jedną ręką drzewa, a drugą za serce. Wciąż włączona w komórkę latarka oświetlała jej postać z ziemi.

– Maryś, chodź! To nie ona!

– Co? A kto? – podeszła coraz bardziej wzburzona Maria..

Dziewczyna na jej widok spłonęła rumieńcem, jak nastolatka na widok ulubionego członka boysbandu. Ale Marysi to nie obchodziło.

– Ktoś Ty? Co tu robisz? I o co chodzi z tą wiadomością?! Mów, bo jak naukę kocham...

– No... bo... – zaczęła się jąkać, a jej twarz zaczynała wyglądać znajomo.

– Zaraz... ja Cię kojarzę... Już wiem! To Ty jesteś tą miłośniczką romantasy, co chce od Balbiny zaprojektowania tatuażu ze wszystkimi męskimi bohaterami z trzech różnych serii, ale na tyle małego, żeby zmieścił się na nadgarstku i dało się go ukryć przed matką?

– Roma– co? – zdziwiła się Marysia. – To coś z wiedzy o starożytnym Rzymie?

– Nie, potem Ci wyjaśnię. A ty – zwróciłam się znów do dziewczyny – masz na imię Alicja, prawda?

– Tttak...

– Co tu robisz?

– No bo... – zaczęła – No bo ja chciałam pomóc!

Obie zdębiałyśmy.

– Chyba musisz rozwinąć.

– Bo ja już od jakiegoś czasu wiem, że pani Balbina jest wiedźmą... I kiedyś, totalnie przypadkiem, będąc koło jej domu, totalnie przypadkiem odkryłam, że ma portal w domu, i totalnie przypadkiem zobaczyłam, jak już kilkakrotnie wychodziła z niego pani... – tu przeniosła wzrok na moją przyjaciółkę – moja idolka, bohaterka, w swojej własnej osobie, Maria Curie–Skłodowska!

– Dobrze... rozmową na temat stalkingu zajmiemy się później...

– Czego? – zapytała Marysia.

– Później Ci wyjaśnię. A teraz kontynuuj, mała, bo to wciąż niewiele tłumaczy.

– No bo... ja wiem wszystko na pani temat, ale tak dosłownie wszyyystko i... i... i ja wiem, że pani ma tę fobię, i... i pomyślałam, że jak już siedzi pani u swojej przyjaciółki, która jest terapeutką – i to od traum i fobii też...

“Ocho. To będzie długa rozmowa o stalkingu” – pomyślałam, ale nie przerywałam.

– ...to jak panią striggeruję, to ona pani pomoże i wtedy pani będzie ich używać i może nie... – przerwała, spuszczaając smutno wzrok.

To był niebezpieczny moment. Podstawowa zasada, żeby osoba z przeszłości mogła spokojnie przebywać w naszych czasach, była taka, że nie mogła nic

wiedzieć, co mogłoby wpłynąć na bieg jej historii. Balbina tłukła nam to do głowy z 2678 razy. Przynajmniej.

Ale było za późno.

Marysia, jak wiadomo, była bystrą kobietą i od razu załapała. Spojrzała na smutną dziewczynę i jej twarz na chwilę ozdobił melancholijny uśmiech.

– Rozumiem. – rzuciła – Chciałaś pomóc.

Alicja pokiwała głową.

– Dobrze. Wiesz co? Pomogłaś. Dziękuję Ci. Ale teraz powinnaś iść do domu, bo my z Karoliną chcemy dokończyć spotkanie i omówić... ten problem.

Dziewczyna rozpromieniła się.

– Dobrze! Dziękuję za zrozumienie pani Mario!

Nie odzywałam się. Byłam zbyt zszokowana słowami Marysi.

Odprowadziłyśmy Alicję do stacji metra centrum. Rozpromieniona dziewczyna uścisnęła nas na pożegnanie, ku całkowitej zgrozie mojej przyjaciółki.

Gdy już zniknęła za bramkami, spojrzałam na nią:

– Maryś, ty chyba nie...

– Nie – ucięła krótko. – Ja wiem, jakie jest ryzyko. Ale lepiej było się z nią nie kłócić. Wiem, że jest za młoda i za naiwna, by zrozumieć. Ale ani ja, ani Ty – nie.

– Czyli...

– Czyli nic nie będę zmieniać. Historia musi wydarzyć się tak, jak się wydarzyła.

Zrobiło mi się smutno, więc żeby to ukryć spojrzałam w niebo. Chmury się rozstały i oświetlał nas blask księżycy w pełni.

– Wiesz, że dziś jest pełnia w Pannie? Podobno to czas, który wzmacnia uwolnienie się od specyficznych wzorców i...

– No naprawdę, Karolina! – zachnęła się. – Za moich czasów kobiety nauki jak my nie wierzyły w taki nonsens!

– I mówi to kobieta, która podróżuje w czasie przez magiczny portal. – uśmiechnęłam się do niej.

– Touché, kochana, touché...

Siostry Mokoszy

Katarzyna Lenart

– Dąbrówko, Dąbrówko, obudź się – już świta, już czas!

Znajomy głos boleśnie wyrwał mnie z objęć zaświatów. Och, jeszcze jedno pianie koguta, góra dwa! Tak bardzo chciałam poleżeć jeszcze te kilka chwil. Nie przeszkadzał mi już drapiący siennik ani cienkie okrycie z Inianej tkaniny. Wszak miała to być moja ostatnia noc w domu rodzinnym...

Udając, że nie słyszałam wołania matki, obróciłam się do ściany izby, by zyskać kilka cennych chwil. Rodzicielka nie dawała za wygraną – usłyszałam jej miękkie kroki, zbliżające się coraz to bliżej mojego siennika.

– Dąbrówko, naprawdę musimy wyruszać w drogę! – to powiedziawszy, chwyciła Inianą narzutę i ściągnęła ją ze mnie. Z trudem podniosłam ciężące mi powieki, by nie dostrzegła, że wcale nie spałam. Spojrzałam na nią zaspanymi oczyma.

– Matko, już wstaję, wstaję...

– Szybko, musisz umyć się w strumieniu.

Brr! Na samą myśl o tym przeszedł mnie dreszcz. Rzeczka nie była szeroka, ale za to bystra, a jej rwący, acz życiodajny nurt przynosił z gór lodowatą wodę. Kąpałiśmy się w niej zawsze, gdy miesiąc stał wysoko na niebie. Dzisiejszego ranka weszłam do strumienia całkowicie sama, pierwszy raz w życiu. Zanurzyłam się w wodach górskiego strumienia, by oczyścić ciało i ducha ze spraw przyziemnych – dziecięcych i domowych. Następnie założyłam śnieżnobiałą szatę z lnu, pas obwiązałam powrozem, a na stopy założyłam skórzane sandały. Matka zaplotła mi włosy w warkocz, a głowę ozdobiła zielonym wiankiem z traw i pierwszych, wychodzących po zimie kwiatów. Na sam koniec przygotowań do drogi, ojciec maczając palec w miodzie, na wnętrzach moich dłoni i pośrodku czoła nakreślił romb składający się z czterech mniejszych – znak Mokosz. Bogini, której dzisiaj

miałam oddać się na służbę.

Rodzinie, której dziecko idzie służyć do świątyni Mokosz, była oddawana cześć, gdyż to sama Mokosz – za pośrednictwem swoich kapłanek – wskazywała, która dziewczynka była jej przeznaczona. Co 10 lat, każdej jesieni kapłanka wędrowna wybierała się w obchód po osadach dalszych i bliższych, by odszukać dziewczynkę, którą wybrała Mokosz. Dziewczynka ta spędzała ostatnią zimę w swojej osadzie, po czym wraz z pierwszymi oznakami wiosny, rodzina odprowadzała ją do świątyni Mokosz.

Zeszłej jesieni, Mokosz wybrała mnie. Z początku byłam przerażona tym, że opuszczę swoją rodzinę, bliskich z osady, zwierzęta, ulubione miejsca, jednak kapłanka opowiadając o tym, co czekało mnie w świątyni, sprawiła, że wypatrywałam z utęsknieniem wiosny. Dzięki temu mogłam też podnieść status swojej rodziny w osadzie, co bardzo mnie uszczęśliwiało, mimo, że nigdy więcej nie miałam ich już zobaczyć.

Wędrówka do Świątyni upłynęła nam w milczeniu – matka mówiła, że tak trzeba, że przestałam być już dzieckiem i że muszę powściągać swoje emocje. Podobało mi się, czułam się taka duża i dojrzała!

W południe, gdy słońce było wysoko na niebie, stanęliśmy przed świątynią – budowlą z drewnianych pali, wysokich na 20 stóp, postawioną na planie rombu. Z piersi wyrwał mi się jęk zaskoczenia – w życiu nie widziałam takiej konstrukcji! Wciągnęłam mocno powietrze – dookoła unosił się zapach palonych ziół.

– Matko ...

Obróciłam się w stronę rodziców. Spojrzałam na nich ostatni raz, uśmiechnęłam się i... w ostatniej chwili powstrzymałam przed tym, by ich uściskać. Nie mogłam tego zrobić, bo przecież byłam już czysta i nieskalana po obmyciu w strumieniu. Rodzice spojrzeli na mnie – w ich oczach dostrzegłam spokój. Wiedzieli, że oddając mnie Bogini, zapewniają rodzinie dobrobyt i łaskę.

Odwróciłam się na pięcie i zostawiłam cały dotychczasowy świat, jaki znałam za sobą, po to by wejść w nieznaną, w sprawy boskie, tajemnicze. A przynajmniej tak myślałam.

Po niepewnym wkroczeniu do świątyni, podeszła do mnie kapłanka, ta sama

która była u nas na jesieni. Nie mówiąc nic, położyła mi dłoń na ramieniu i popchnęła lekko ku jednej, z – jak się później okazało – wielu izb i wskazała, żebym usiadła.

W pomieszczeniu było ciemnawo, słaby blask światła dawał jedynie niewielki ogarek postawiony po środku izby. Usiadłam na kamieniu, który wskazała mi kapłanka. Starłam się uspokoić szalone bicie serca. Milczałam, czekając na rozwój wypadków. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do słabego światła, pod drugiej stronie izby, dokładnie na przeciwko mnie, na kamieniu siedziała postać – ubrana w podobne jak kapłanka wędrowna szaty, lecz nieco ciemniejsze. Siedziała w milczeniu, ze spuszczonego wzrokiem. Spojrzałam w jej twarz. Wydawała się pomarszczona niczym kora jesionu, mojego drzewa szczęścia.

Nagle kobieta podniosła lico i spojrzała w prosto na mnie swoimi zimnymi, błękitnymi oczyma. Poczułam, że moje ciało sztywnieje, a starsza kapłanka próbowała wdrzeć się do mojej myśli. W głowie usłyszałam głos:

– Niewiasto, nie jesteś już Dąbrówką, nie jesteś już dzieckiem.

Czy ja oszalałam, czy może to zioła mieszały mi w głowie?

Głos nie ustępował:

– Mój czas służby Bogini dobiegł końca. Dziś przejdę do zaświatów, radować się spokojem wiecznym, wśród sióstr Mokosz. Moim obowiązkiem jest przekazać Ci dar Mokosz, dar jasnowidzenia, który i ty – w schyłku życia – oddasz kolejnej siostrze, tak jak ja to robię dzisiaj.

Mimowolnie zamknęłam oczy. Zaczęłam głęboko oddychać, pierś podnosiła się jak oszalała. Pot wystąpił na moje czoło, plecy, dłonie. Świat zaczął wirować wokół mnie, poczułam niekończące się zawroty głowy. Głosu kapłanki już więcej nie usłyszałam.

Nie wiem, jak długo byłam w transie. Po jakimś czasie obudziłam się leżąc na klepisku tej samej izby, do której wprowadziła mnie kapłanka wędrowna. Ogarek wciąż płonął, z trudnym oświetlając izbę. Wciąż czując lekkie zawroty wstałam i ujrzałam ciało starszej kapłanki, znajdujące się w takiej samej pozycji, w jakiej ją dostrzegłam po wejściu do izby.

Oczy miała zamknięte. Nie oddzywała się... nie oddychała.

W głowie ponownie usłyszałam cichy głos:

– Pokój z tobą Siostrze, oddaj swe życie Mokoś, jak i ja je oddałam.

Głos umilkł.

Wzięłam głęboki oddech i poczułam, że moje myśli zaczęły sięgać dalej, niż mogłam sobie wyobrazić, a wzrok ogarniał przeszłe, teraźniejsze ale i przyszłe zdarzenia. Ujrzałam miłość, narodziny, walki między bliskimi, wreszcie ujrzałam śmierć. Zobaczyłam czyjaś radość i szczęście, ale i smutek i rozpacz kogoś innego.

Wreszcie zobaczyłam w myślach siebie – dojrzewającą niczym owoc jabłoni, rumianą, czerwoną, wreszcie wysychającą i pomarszczoną, wśród nowych sióstr.

Stałam się kapłanką Mokoś.

Koniec.

W imieniu Auterek dziękuję za Twój czas i uwagę.

Będzie nam bardzo miło, jeśli podzielisz się informacją o Pisalniku ze swoimi bliskimi i na social mediach.

